Opłata
telegram
telefon
Razem zł
odbiór

Druk płatny
Odtelegrafowano
dn. g. m.
do
Podpis

# TELEGRAM

Nr dn. g.

TYGODNIK "ODGŁOSY"
UL. PIOTRKOWSKA 96 ŁÓDŹ

WRÓCIŁEM + PRZEPŁYNĄŁEM 60.000 KILOMETRÓW + EUROPA AZJA AFRYKA + 70 KRAJÓW + 35 MIAST + 600 ZDJĘĆ + KIEDY PRZYSŁAĆ PIERWSZE REPORTAŻE +

MIECZYSŁAW GÓRSKI

**Tej treści depeszę otrzymaliśmy od naszego specjalnego wysłannika**

Już wkrótce rozpoczynamy publikowanie cyklu reportaży pt.:

# PRZEZ PORTY ŚWIATA

NR 21 (65) CENA 1 ZŁ

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 24 maja 1959 r.

## Nie czytajcie w numerze:

Dalszego ciągu CHANDRY BYSTRZYCKIEJ

O JUVENALIACH w Krakowie

KRYMINAŁU na str. 6

REPORTAŻU o PABIANICACH

UWAG BELFRA o WASZYM BIURZE

KORESPONDENCJI z USA Marka Hampa:

O LATAJĄCYCH TALERZACH I O POLOWANIU NA CZAROWNICE

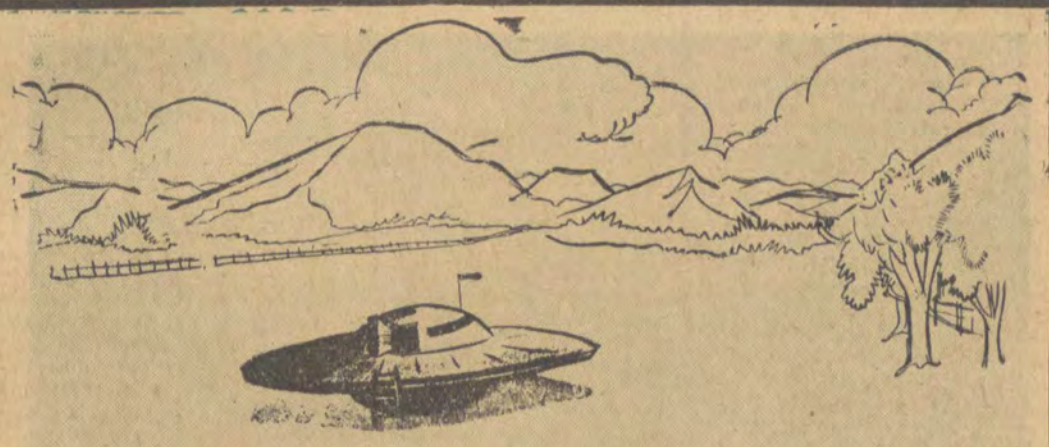

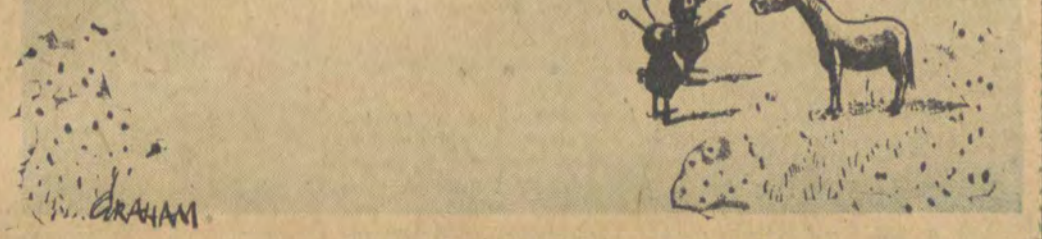


*Niech pan nas uprzejmie zaprowadzi do waszego prezydenta.*

KAROL BADZIAK

# REKONESANS W KRAINĘ ROBINSONÓW

**Jak doniosła prasa, na wyspie jednego z jezior mazurskich żyje polski Robinson.**

Na miesiąc Krainę Wielkich Jezior ożywią barwne tłumy turystów. Kręte „strategiczne" szosy olsztyńskie zaroją się dziesiątkami samochodów, jeziora okupią rybacy i żeglarze, a lasy dzieciarnia i specjaliści od grzybobrania. Ale jeszcze w maju jest to kraj milczący, surowy i piękny. W powietrzu unosi się aura wielkiego oczekiwania, a ciemne szare chmury zbyt często spluwają bynajmniej nie majowym jeszcze deszczem.

Kiedy jechałem tutaj, zadawałem sobie w myśli pytanie, o ile jeszcze Smętek panuje na tych pradawnych ziemiach polskich i czy rzeczywiście żyją tutaj Robinsonowie. Pytania te są trochę metaforyczne i oparte na pewnych skojarzeniach, ale w dalszej części wyjaśni się, jakie było ich źródło.

Zanim jednak dotarłem do autentycznego Robinsona na tajemniczej wyspie tajemniczego jeziora Dadaj, zasugerowany celem i zafascynowany obiektem oraz poniesiony zawodową ambicją zacząłem szukać na lewo i prawo Robinsonów. Każdego, z którym mnie bezoki los zetnął, pasowałem na „swojego" potencjalnego Robinsona.

Już oczyma duszy widziałem, jaka będzie frajda. Pełna ciężarówka stołecznych dziennikarzy znalazła na Mazurach tylko j e d n e g o Robinsona, a ja sam wykryłem tu k i l k u n a s t u. Pękną z zazdrości, zawiści i jeszcze wielu im podobnych właściwości charakterologicznych. Potrafili oni, potrafił Defoe, a ja to co... I tu szereg superlatywów, których wrodzona skromność i takt nie pozwalają mi wymienić.

### ROBINSONOWIE OLSZTYŃSCY

Kiedy po południu wstąpiłem na kawę do „Ratuszowej", nie mogłem uwierzyć, że znajduję się w Olsztynie. Same znajome gęby. Jeszcze przed paru miesiącami oddychali powietrzem Nowego Świata (tego w Warszawie), wysiadywali godzinami w „Harendzie" i każdy miał modnego psychicznego katza. Tu też czasem się zdarza, ale ten fizjologiczny i niezbyt często.

Spotkałem w Olsztynie cała gromadę znajomych absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego i drugie tyle z innych uczelni zapoznałem na miejscu.

— Bronek Banaszczyk jest instruktorem TPP-R.

*(Dalszy ciąg na str. 8)*

BOGUMIŁ BRECHTA

# Przedkanikularne szczyty natężenia

- *Puchy w „Krzywym Kole" i tłumy przed Pałacem*
- *Pomysły zmotoryzowanych i salon „bez spodni"*
- *Zamknięcie „Stodoły" czyli przed koronacją Tyrmanda i KTT*
- *Gabinety w „Wiesze". Spór o Wiecha i „Gazeta świetlna"*
- *Ciuchy i Massina*

Spieszę zapewnić Państwa jak najsolenniej, że życie intelektualno-kulturalne stolicy kwitnie, owocuje, prosperuje i rozwija się, osiągając swoje normalne przedkanikularne szczyty natężenia.

Po Warszawie krąży nawet plotka, jakoby przed miesiącem w pewnej kawiarni odbyła się dyskusja na tematy polityczne, w której rzekomo wzięło udział kilka osób. Niestety, dotychczas nie udało się ustalić miejsca, czasu i tego, kto brał udział w owej wymianie zdań na tak egzotyczne tematy.

W nabitej zawsze sali dyskusyjnego Klubu Krzywego Koła odnotowano ostatnio po raz pierwszy w dziejach pustki. Nic w tym jednak dziwnego. Dyskusja miała dotyczyć problemu cen i płac.

Ogół warszawiaków spędza czas na placu przed Pałacem Kultury. Jak wiadomo w okresie, który nastąpił po minionym okresie, mocno krytykowano jego przesadzoną wielkość, dającą mu pierwszeństwo wśród placów Europy. Okazało się, że i ta krytyka była bezzasadna. Plac okazał się za mały, aby pomieścić wszystkich, którzy stoją w ogonku do kina wyświetlającego film z Brygitte Bardot pt. „Paryżanka".

Pogotowie ratunkowe zabrało do szpitala dla nerwowo chorych krytyka, który ujemnie wyraził się o tym filmie. Fakt jest autentyczny, czego najlepszym dowodem jest to, że nie podaję nazwiska krytyka.

Zamknięcie tygodnika „Kraj" odbiło się szerokim echem w kręgach intelektualnych stolicy. Oficjalna wersja na temat tego zamknięcia głosząca, że został on zlikwidowany, gdyż 90 proc. niewielkiego nakładu tego tygodnika pozostawało w kioskach — spotkała się z energicznym dementi kilkusetosobowej armii jego redaktorów i współpracowników, którzy twierdzą z całą pryncypialnością w poczuciu odpowiedzialności przed narodem i historią, że jest to tak zwane mydlenie oczu. Zwroty nie mogły przekraczać 85 proc.

Wszystkie wycieczki zagraniczne „Orbisu" kosztujące ponad 10 tysięcy złotych „od łebka" mają komplet. „Orbis" usilnie stara się natomiast znaleźć amatorów na wycieczki za 3—4 tysiące złotych.

Mania motoryzacyjna nie opada. Kandydaci na automobilistów wysuwają coraz fantastyczniejsze żądania. Np.

*(Dalszy ciąg na str. 4)*

*Nasza szkółka*

# W waszym biurze

Belfer zarządza dzisiaj lekcję „naszej szkółki" w Waszym biurze. Mówić zamierza o Was — Wam, nie znając osobiście ani Was, ani Waszych kolegów, ani Waszego dyrektora. Znaczy to, że zacznie od opisu historii typowej. Rzeczy typowe są nieciekawe, bo zbytnio prawdziwe. Wybaczcie.

A więc jest biuro. Włada nim Dyrektor. Ma on dwóch zastępców tj. Wicedyrektorów. W akcji bierze też udział Kierownik jednego z działów i pracownicy tego działu. Dyrektor jest stary, zasłużony, choć nie orzeł. Interes prowadzą dwaj jego zastępcy, żyjący w doskonałej zgodzie ze sobą i w doskonałej niezgodzie z Dyrektorem, który na codzień robi niewiele, rozumie niewiele i nudzi się. Z nudów włączył się do różnych błahych spraw, najchętniej personalnych i wicedyrektorów tym denerwuje. Wicedyrektorzy są zdolni, młodzi i radzi by ażeby Dyrektora ziemia pochłonęła, co zwolniłoby jego fotel. Trudnią się więc wysyłaniem do władz zwierzchnich donosów na swego pryncypała.

II Wicedyrektor włada biorącym udział w akcji działem i jego Kierownikiem. Kierownik jest przyjacielem II Wicedyrektora.

Pracownicy działu nienawidzą II Wicedyrektora. Po pierwsze dlatego, że jest chamem, że pomiata ludźmi, że skandalicznie ich traktuje. Po drugie dlatego, że obcina źródła ich dodatkowych dochodów. Po trzecie dlatego, że jest doskonałym fachowcem, o niebo od nich lepszym i daje to odczuwać. W rozgrywce z Dyrektorem II Wicedyrektor „nie szuka oparcia w pracownikach".

Pracownicy działu piszą do Dyrektora donosy na II Wicedyrektora. Zawierają one relację, o tym, co II Wicedyrektor mówił o Dyrektorze (raz że idiota, drugi raz że sklerotyk itp.) i o tym, że nie respektuje on jego — Dyrektora zarządzeń itp. „Podgryzając" II Wicedyrektora pracownicy stawiają na starego Dyrektora. Działają solidarnie. Mają swojego przywódcę w osobie Referenta N. Referent N. ma na widoku awans. Po wygryzieniu II Wicedyrektora, wygryzą i Kierownika działu (przyjaciela tego pierwszego). Stąd perspektywy awansowe na kierownika (a może wicedyrektora!) dla Referenta N., który zapewnia kolegów, zabiegając o ich poparcie, o korzyściach jakie odniosą z tego obrotu rzeczy.

Mamy więc dwa obozy. Karty są rozdane, licytacja przeprowadzona. Czas na rozgrywkę.

II Wicedyrektor urządza pracownikom działu o coś awanturę, grożąc w jej trakcie, że wszystkich powyrzuca. Wywołuje to u nich poczucie zagrożenia bezpośredniego. Przystępują więc do działania.

Z ich inicjatywy Dyrektor zwołuje zebranie. Na zebranie przybywa władza zwierzchnia biura ze stolicy. Pracownicy działu przedstawiają memoriał zawierający zarzuty przeciwko II Wicedyrektorowi. W zasadzie jeden zarzut: zły stosunek do pracowników, chamstwo, władztwo absolutne, pomiatanie personelem.

Ponieważ innych zarzutów nie znaleziono — memoriał ma treść nieco humorystyczną. Przecież twierdzenie o „złym stosunku" jest trudne do opisania, bo rzecz ma swoje przejawy w sile głosu, w jakichś samych przez się nic nie znaczących incydencikach, dotyczy bardziej klimatu niż konkretu.

Oto czytamy, że II Wicedyrektor posłał kogoś z pracowników, żeby wykupił jego żonę od fryzjera, „moralnie wymuszał" pożyczki, kazał za siebie tego a tego dnia coś zrobić, bo oświadczył, że ma „kaca" itd.

II Wicedyrektor broni się poprzez prostowanie spreparowanych faktów. Wszak pracownik sam zaproponował, że będzie przechodził koło tego fryzjera, u którego nie posiadająca pieniędzy żona II Wicedyrektora siedzi pod suszarką, więc ją wykupi. Przecież istniał zwyczaj obopólnego pożyczania sobie pieniędzy, a fakt z kacem świadczy o bezpośrednim charakterze stosunków z pracownikami...

Niewdzięczna to platforma obrony, podejmująca infantylną płaszczyznę oskarżenia. Pracownicy grożą zbiorową dymisją.. Popiera ich stary Dyrektor. Wobec powyższego I Wicedyrektor przechodzi na pozycję obozu przeciwnego, atakując Wicedyrektora nr II, swojego dotychczasowego sojusznika.

Władza zwierzchnia z Warszawy zawiesza II Wicedyrektora w czynnościach i zapowiada, że zostanie on przeniesiony do pracy w innym biurze.

Cicho i spokojnie załatwiają się teraz wszyscy z Kierownikiem działu, przyjacielem zdetronizowanego II Wicedyrektora. Ponieważ w finale zebrania stary Dyrektor usłyszał wprost od II swego zastępcy, że jest idiotą i sklerotykiem — wściekły niszczy natychmiast jego gwardzistę. Kierownik dostaje przeniesienie. Referent N. awansuje na kierownika. To jest cena poparcia starego Dyrektora i cena za jaką N. wybacza I Wicedyrektorowi jego uprzedni alians.

W dzień po zebraniu — sielanka. Wszyscy zgodni, zbratani. Sekretarki wyrzucają na korytarz papiery II Wicedyrektora. Następuje aneksja jego gabinetu i spalenie jego pieczątki. Jednym słowem festyn ludowy.

Referent N. staje się szarą eminencją (oto jak powstają szare eminencje biur), jest bowiem językiem u wagi. Lada dzień wznowiona zostanie rozgrywka pomiędzy Dyrektorem a jego zastępcą. Wszystko teraz zależy od tego po czyjej stronie stanie N. i jego gwardia, która już pokazała siłę...

Wszystko to byłoby blahe i komiczne, gdyby nie fakt, iż jest to jakiś stan rzeczy z matematyczną dokładnością powtarzający się w niejednym biurze, mutowany w nieskończoność. Wszędzie toczą się rozgrywki, wszędzie w oparciu o wspólnoty interesów tworzą się koterie, zwalczające się kliki, wrogości i alianse. Oczywiście czasem są to rzeczy występujące ostro, czasem zaś toczące się podskórnie. Czasem rozróbka ma takie, czasem znów inne przejawy.

Ciekawe jest tu co innego. Dlaczego w ogóle jest tak, jak jest, a nie inaczej? Dlaczego społeczności biurowe (i nie tylko biurowe) tworzą niejako żywiołowo takie właśnie układy stosunków międzyludzkich.

Rzecz jest jasna, gdy w grę wchodzą antagonistyczne interesy materialne. Taki stan to jednak rzadkość. W przeciętnym biurze każdy ma swoją gażę i nijakie sprzeczności w tej materii nie występują. (Pomijam tutaj sprawy z innej beczki, mające podobne objawy, jak walka ze zjawiskami korupcyjnymi, lub walka grup pracowniczych o jakieś istotne racje i wartości).

Ogromnie ważą w tych sprawach różne osobiste ambicyjki, sympatie i antypatie. Ale nie są to rzeczy mogące wytwarzać i spiętrzać wielkie „rozróby". To z jednej strony. Z drugiej — jako wyniki różnic charakterologicznych są owe sym- i antypatie niezwalczalne, łagodzić je co najwyżej może wyjątkowo mądry zespół ludzki, klimat instytucji itp.

W gruncie rzeczy przyczyną „choroby biurowej" jest tocząca się masowo gra o władzę. O władzę przez duże „W" nad biurem, i przez małe „w" o stopień wpływowości, o drobne władzy akcesoria (nie uwierzycie, czasem o biurka, kałamarze, o telefon itp).

Z nawyku starych, przedsocjalistycznych wyobrażeń o „pozycji społecznej" — zadowolenie daje człowiekowi tylko władza nad ludźmi. Niestety nie i jeszcze nie — władza nad rzeczami. O ile niezwalczalne i niegodne zwalczania są bodźce materialne jako impulsy działań człowieka, o tyle istnieje konieczność jakiegoś przeorania ludzkiej świadomości w kwestiach władzy, w tych komórkach mózgowych, które produkują władcze chucie.

Sądzę, że powodzenie w tej dziedzinie zależy od dwóch rzeczy. Po pierwsze, oczywiście, od obiektywnego układania się stosunków społecznych w ten sposób, iż wzrastać będzie ważkość władzy nad rzeczami, a maleć „splendor" władających ludźmi. Po wtóre, od wytwarzania środkami kształtującymi opinię publiczną klimatu deprecjonującego władanie ludźmi. Na klimat ów mogą się złożyć: negatywne osądy nadużywania władzy danej wobec rzeczy w stosunkach międzyludzkich, ośmieszanie usiłowań w tym kierunku, walka z władzą jako celem ludzkich poczynań, dostarczanie w procesie wychowania psychicznych wymienników „chuci władzy".

Jest to wcale nieblahy odcinek budowania socjalizmu. Jest to wcale bezpośrednio sprawa socjalizmu.

Belfer markuje tylko problem, który by trzeba co dzień i konkretniej unaoczniać. Ale trudno. W „naszej szkółce" dzwoni już dzwonek na przerwę i czas na Belfra. Musi się zająć podgryzaniem naczelnego redaktora „Odgłosów". Dopóki owo podgryzanie generalnie się nie uda, pięty belfrowe mile łechtać będzie władztwo nad redakcyjnym gońcem.

BELFER

ADAM OCHOCKI

# Za cenę strachu

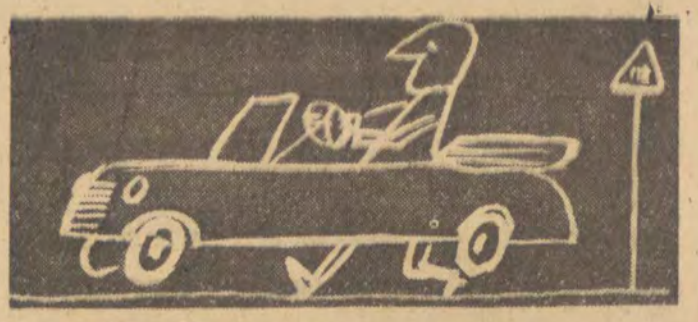

W Łodzi toczył się niedawno proces kilkuosobowej grupy, która odpowiadała i została skazana za „lewe" prawa jazdy. Jedni je sprzedawali, inni kupowali. Z ręki do ręki po kilkaset złotych sztuka.

Sprawa ta zmusza do pewnych refleksji. Po co ludzie kupują prawa jazdy? Przecież egzaminy doprawdy nie są trudne, najlepszy dowód, że na 100 zdających odpada przeciętnie po dwie, trzy osoby, które zresztą niebawem, choćby po kilku dniach, mają prawo ponownie stanąć przed obliczem ciała egzaminującego i próbować szczęścia prawie w nieskończoność.

Tak, tylko uczestnicy kursów samochodowych o tym przeważnie nie wiedzą, a jeżeli mają się orientować według wykładów — mogą się spodziewać na egzaminach prawdziwych tortur.

I tutaj dochodzimy do sedna zagadnienia. Kursy samochodowe dla amatorów są nieżyciowe, trudne, trwają za długo, męczą słuchaczy, doprowadzają ich do takiego stanu, że gdy nawinie się bratnia dusza i zaproponuje za 600 zł polskich prawo jazdy bez potrzeby ukończenia kursu i bez egzaminu — ten i ów skwapliwie korzysta z oferty.

* * *

Kierowca -amator to taki kierowca, który wprawdzie lubi prowadzić samochód, ale z reguły go nie reperuje. Więc po co, pytam się szanownych organizatorów, wtajemnicza się go w najdrobniejsze detale, po co uczy się go z czego się składają wszelkiego rodzaju na świecie spotykane gaźniki?

Gdy ludzie zapisują się na kurs, informują ich, że całość potrwa siedem tygodni. W praktyce chyba jeszcze żaden kurs samochodowy nie został w takim terminie zakończony. Historia przeciąga się, a przez ten cały czas, trzy dni w tygodniu, po normalnej pracy, człowiek przychodzi na wykłady i słowo po słowie notuje co pan wykładowca powie. Zapisuje mechanicznie, najczęściej nic nie rozumiejąc z tej gmatwaniny sworzni, tulejek, komutatorów, przepustnic, dysz itp.

I komu to u licha potrzebne? Proszę mi pokazać kierowcę-amatora, który po egzaminie odpowie choćby na jedno trudniejsze pytanie z budowy mniej znanej części samochodu!

Natomiast całkiem inaczej wygląda sprawa z samą nauką jazdy, która chyba jest podstawą takiego kursu.

Gdy przy zapisywaniu się na kurs spytacie o szczegóły, odpowiedzą wam, że „jazd będzie tyle, ile potrzeba". A w praktyce wygląda to tak: ledwo taki uczący się wsiądzie do samochodu, ledwo zapuści silnik i ruszy z miejsca, nie zdąży jeszcze włączyć drugiego biegu, a już mu instruktor oznajmia stentorowym głosem:

— Pański czas już minął. Następny...

Kilka razy to się powtórzy — i koniec. Nauka jazdy „odbyta". Oczywiście można wziąć dodatkowe lekcje jazdy, ale sam pan rozumie — benzyna kosztuje, smary też, a amortyzacja, a czas instruktora? Więc się płaci dodatkowo, ale nie to przecież jest najważniejsze...

* * *

Czy kierowcy - amatorzy powinni znać zasady budowy samochodu i pracy silnika, układu kierowniczego czy hamulcowego? Niewątpliwie tak, ale jak najogólniej. A do tego potrzeba, kochani panowie organizatorzy, doprawdy tylko kilku lekcji. Bez wdawania się w szczegóły, bez rozbierania na czynniki pierwsze, wytłumaczcie słuchaczom najbardziej podstawowe rzeczy, darując im i te pompki trybikowe i te smarowania pod ciśnieniem, rozbryzgowe, mieszane i diabeł wie jeszcze jakie. Słuchacze będą bardzo wdzięczni, bo doprawdy od tego wszystkiego aż głowica pęka.

Natomiast uczcie się i to najsumienniej nauki jazdy. Zamiast trzydziestu godzin wykładów — zróbcie trzydzieści godzin dodatkowej nauki prowadzenia samochodu. I uczcie swych słuchaczy jak się koło zmienia, jak się wóz lewaruje, jak się łatkę zalepia, gdy opona spuści, bo tych prostych, podstawowych rzeczy, które k a ż d e m u mogą się przytrafić w drodze, nie zna żaden z abiturientów waszych kursów.

Zaś komisje egzaminacyjne niechaj pytają i to jak najsurowiej ze znaków drogowych, z przepisów o ruchu na ulicach i drogach, niech każą kandydatowi na egzaminie jeździć nie minutę, ale pięć, dziesięć minut. Do przodu, do tyłu, do bramy i dopiero po takiej próbie niech wydają prawa jazdy. Kto zaś ma dodatkowe zainteresowania samochodem, proszę bardzo, niech uczęszcza na kursy wyższego stopnia, gdzie nawet holazję rozbiera się na śrubki.

Ostatecznie nie wszystko na Zachodzie jest złe. W dziedzinie komunikacji możemy się chyba niejednego nauczyć. A tam wiecie jak długo trwa nauka prowadzenia samochodu? Żeby nie skłamać trzy, cztery dni. Przepisów i znaków drogowych kandydat uczy się sam, do tego wykładowca nie jest potrzebny, natomiast instruktor godzinami uczy go jazdy. I to, wydaje mi się, jest słuszne.

* * *

Ludzie, którzy kupowali „na lewo" prawa jazdy, płacąc za nie i po 600 zł, bali się wykładów, bali się egzaminu z tych skomplikowanych historii. Gdy kursy samochodowe przestaną być zmorą, a staną się pouczająco - rozrywkowe, gdy słuchacze chętnie będą na nie uczęszczali, wówczas nikt nie będzie kupował „lewych" praw jazdy. Nie stanie po prostu na nie amatorów.

Bo nie trzeba będzie płacić za taką naukę ceną strachu!

# JUVENALIA • Co się działo we grodzie?

Pierwszego dnia padał deszcz. Padały też nieprzystojne, a słowem plugawym wyrażane opinie o biurze organizacyjnym Festiwalu Kulturalnego Studentów. Lecz jakże tu mieć pretensje do tych zalatanych, niewyspanych chłopaków, którzy naprawdę n i e m o g l i zakwaterować wszystkich przyjeżdżających raptem, bez jakichkolwiek zapowiedzi, w przeddzień otwarcia festiwalu.

Reporter „Odgłosów" znajdował się w szeregach tych ostatnich. Zamieszkał więc u pewnej sympatycznej pani i bardzo sobie ową niemoc mieszkaniową biura organizacyjnego chwali.

★

*Lucyna Błaszczyk z „Pstrąga"*

## Trochę statystyki

Festiwal Kulturalny Studentów odbywał się w Krakowie w dniach 7—10 maja. W tym czasie odbyło się około 80 imprez w ponad 20 salach.

Gdyby wszystkie festiwalowe imprezy miały się odbyć na jednej tylko scenie trwałyby bez przerwy około 138 godzin, to znaczy ponad 5,5 doby.

Do Krakowa zjechało ponad 1.300 przedstawicieli innych ośrodków akademickich. Jest to wszakże cyfra oficjalna i raczej niezbyt ścisła. Skądinąd wiadomo, że przedstawicieli tych było faktycznie co najmniej dwukrotnie więcej.

Organizacja festiwalu kosztowała około 2 milionów zł, z czego ponad milion wyasygnowała Rada Naczelna ZSP.

# Uwaga Łodzianie! • Niedługo żakinada • Niedługo żakinada

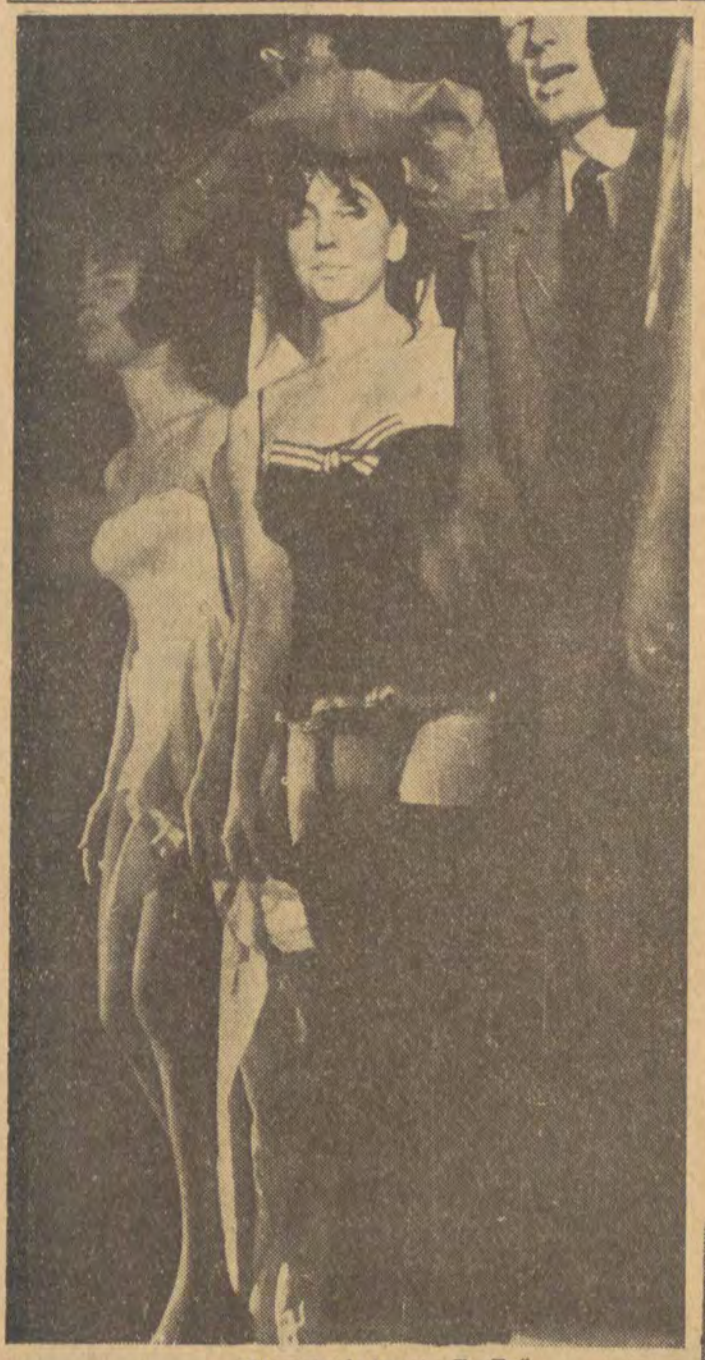

Gdański kabaret „To-Tu"

„Dziadek z nami"

Rezultaty konkursu malowania na płocie...

Na krakowskim rynku

Portrecik z Juvenaliów

Cowboy z Bieszczad

# JUVENALIA • Co się działo we grodzie? • JUVENALIA • Co się działo we grodzie? • JUVENALIA

## Gdzie masz kapelusz Francesco...

Jak już doniosła prasa codzienna nasz łódzki „Pstrąg" otrzymał multum nagród z nagrodą „Złotego Wawelskiego Smoka" włącznie. Wnikliwy obserwator dostrzeże, iż w rejestrze osiągnięć tego sympatycznego teatru nie stało kaduceusza „Szpilek". Była to tradycyjna już nagroda za „celną i ostrą satyrę polityczną".

Tym razem kaduceusz dostał się warszawskiej „Stodole" za wprost rewelacyjne przedstawienie „Króla Ubu" Alfreda Jarry.

„Pstrąg" bowiem zrezygnował z największego bodaj waloru, jakim był ładunek polityczny i w ostatnim programie „Panowie, świat jest zielony" śpiewa piosenczki ładne, lecz nijakie w rodzaju „Gdzie masz kapelusz Francesco".

Właśnie. Gdzie?

## A „Coto" takiego

Na festiwalu w Krakowie celebrowano przedstawienia „Pstrąga", „Stodoły", „STS". Członkowie tych zespołów chodzili po plantach z głową dumnie zadartą w niebiosa i zamiast ręki podawali dwa palce.

A był w Krakowie maleńki, skromny teatrzyk, teatrzyk rąk. Teatrzyk wiodący nieskończenie urzekający dialog o dłoniach. Trudno zrozumieć czemu właśnie ten teatr, teatr jak najbardziej autentycznej poezji Gestu nie stał się rewelacją festiwalu.

Zresztą wyobraźcie sobie...

Na scenie domek. Okna, w których coś się dzieje. Ktoś wiąże krawat, ktoś myje ręce, podlewa kwiaty. Pod oknami wędruje bezimienny kapelusz. Spadają do niego krawat, robótka na drutach, kwiaty. Pozostają tylko dwa małe czerwone serca kołyszące się na nitce.

## Bomba wybuchła o 15-tej

W sobotę, dnia 9 maja o godzinie 15-tej wybuchła bomba. Już od rana widziano ponoć na mieście osobników odzianych w szatki barwne i kuse. Szli ulicą Basztową, wywołując zdziwienie i popłoch. To na pewno oni... Ale i pod Wawelem widział ktoś podobnych. Więc może tamci.

Może. Wiadomo tylko, że o godzinie 15-tej wybuchła bomba śmiechu i radości. J U V E N A L I A.

Moment ten uwieczniła niezwłocznie obrotna kronika filmowa i nie mniej obrotna telewizja. A Kraków — jak to pisali dziennikarze lubiący odkrywcze sformułowania — stanął na głowie.

To też była uciecha! Nawet trębaczowi na Wieży Mariackiej coś się pokiełbasiło (a może to stara krakowska okowita) i trąbił nieboże, kiedy było trza i nie trza.

## Łódź w Pałacu Sztuki

Kiedy reporter „Odgłosów" przekroczył próg krakowskiego Pałacu Sztuki ujrzał widok dziwnie znajomy i sercu bliski. Na schodach siedziało kilku łódzkich filmowców, a nieopodal pod napisem Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi spokojnie niszczył wino Zbyszek Kosiński.

I dalej już co krok to łodzianin. Takie ich było zatrzęsienie, że jurorzy innego wyjścia nie mając, przyznali łódzkim plastykom aż 5 wyróżnień.

Jak na jedną uczelnię i to uczelnię, którą kiedyś zamierzano zlikwidować — wcale ładnie.

* * *

Festiwal mamy już poza sobą. Fotoreporterzy w ciemniach wywołują zdjęcia. Członkowie „Pstrągów" „Hurmaczków", „Skrzatów" zdecydowanie acz niechętnie kierują swe kroki w stronę drzwi, gdzie widnieją tabliczki „sala wykładowa", „czytelnia".

Chciałoby się trochę ponarzekać na bałagan organizacyjny, na nierozsądny program, na... ale kiedy sobie przypomnę tych niewyspanych chłopaków stłoczonych w maleńkich pokoikach na Floriańskiej, odechciewa mi się niewczesnej krytyki i wszelkich przemądrzałych ocen „na chłodno".

Festiwal. To była jednak „duża rzecz".

Tekst: Jerzy Łukasiak
Foto: Wiesław Macheiko

# PRZEDKANIKULARNE SZCZYTY NATĘŻENIA

Dokończenie za strony 1

żeby można było wpierw obejrzeć kupowany samochód, a później dopiero płacić zań pieniądze, a nie tak jak dotychczas odwrotnie.

„Motozbyt" opierając się demagogicznym tym żądaniom nie bez raeji wyjaśnia, że są one nie uzasadnione, gdyż nie zdarzyło się dotąd, tak jak w innych sklepach, by ktoś zapłacił za samochód, a dostał jakiś inny przedmiot.

Kompresja etatów sięgnęła parnasu. Zespół „Nowej Kultury" zredukowany został o 5 osób.

Jedyna ożywiona dyskusja tocząca się w warszawskiej prasie dotyczy problemu, czy Wiech oddaje język przedmieść stolicy, czy też przedmieścia stolicy posługują się językiem zaczerpniętym z Wiecha. W obronie Wiecha

stają pisma, w których pobiera on pieniądze, atakują go pisma, z których pieniędzy brać nie chciał. Bohater sporu bawi w tym czasie w Izraelu, czekając na rozstrzygnięcie.

Druga pryncypialna dyskusja dotyczy tego, czy budować Zamek Królewski czy nie budować. Sprawy tej nie relacjonuję, jako że „Odgłosy" załatwiły się z Zamkiem przed rokiem. Nie budować, chyba że w Łodzi.

Nie są to wszakże dyskusje przenikające do stołecznych salonów. A propos salony.

W Warszawie otwierają pralnię-salon czy salon-pralnię. Przychodzi się, siada się w fotelu, zdejmuje spodnie, zamawia kawę, bierze do ręki gazetę, spodnie piorą dmuchając w nie chemikaliami i oddają po kilku minutach wyprane. Tak że już niedługo cały high life spotykać się będzie na „kawce bez spodni", A propos bez spodni,

Studencki klub „Stodoła" został zamknięty, przegniła belka u sufitu i całość szopy groziła zawaleniem. Straszna historia, gdyż bardzo to nieelegancko zostać zamkniętym z przyczyn gnilnych, a nie politycznych. Z tej sytuacji stodołowcy jednak honorowe znaleźli wyjście. Z okazji zamknięcia „Stodoły" otworzyli klub dyskusyjny „ Hyde Park", tyle że nie na świe-

żym powietrzu, lecz w bratnim klubie „Hybrydy". Ten Hyde Park jest zrobiony zupełnie na wzór londyńskiego: też wolno wszystko każdemu mówić, aby nie obrażając królowej. W ten sposób stodołowcy prowokując (jako że my nie Anglicy do obrażania królowej) liczą na honorowy zgon. Mogą się wszakże zawieść. Dotychczas mówcy mimo zakazu obrażania królowej nie obrażają — są tak zajęci obrażaniem się nawzajem. Jedyne wyjście: zastosować zabieg koronacyjny w stosunku do Tyrmanda, „Małego" Toeplitza (to właśnie ten wielki Krzysztof Teodor zwany tak w odróżnieniu od dużego rektora prof. dr. Jerzego) i temu podobnych.

Pierwsza sesja tego parku niekłamanej wolności otwarta została przez Leopolda Tyrmanda. Salkę zapełniło kilkudziesięciu przedstawicieli prasy, jeden mikrofon Polskiego Radia i kilkunastu prawdziwych studentów, którzy stali pod ścianami. Najznakomitsi redaktorzy posadzeni zostali na podium.

Jako pierwszy głos zabrał Leopold Tyrmand, który wygłosił przemówienie inauguracyjne. Jako drugi głos zabrał Leopold Tyrmand, który przeczytał swój stary artykuł z „Tygodnika Powszechnego".

W dyskusji zabrał głos jeden autentyczny student, którego „zgasił" zaraz ex cathedra przedstawiciel organizatorów.

Potem gęsto w sposób rzadki mówili dziennikarze, Red. Toeplitz oświadczył zgromadzonym, że żyje z zespołem „Nowej Kultury" w separacji, ale że nie obejmuje ona separacji od łoża. „Leżymy wszyscy razem" — rzekł red. Toeplitz. Co wielu zrozumiało jako aluzję do dzisiejszej poczytności tygodnika.

Ponadto p. Toeplitz wyraził się negatywnie o uzdolnieniach grupy „Współczesność" informując, że jednostki wybitne nie muszą tworzyć grup artystycznych przepychających się zmasowanymi łokciami. Było to subtelne pendant do autooświadczenia o Toeplitzowej seperacji. Reszta przemówienia poświęcona była pryncypialnym już sprawom świata i epoki.

Dalszego ciągu dyskusji nie mogę już przekazać z racji wybycia. Dodam wszakże, że nosiła ona tytuł „Młodość i młodzież". Trzeba a propos dodać, że otwarto właśnie nocny lokal p.n. „Wiecha".

Lokal ten odznacza się tym, że jako jedyny w stolicy, a bodaj i w Polsce posiada „gabinety" (Uwaga dla młodzieży — gabinety: osobne pokoiki w knajpie, w których w zasadzie się je. Niegdyś stały tu kozetki). Relacja o przejawach życia intelektualnego byłaby więc niepełna bez wieści o dyskusji na temat młodzieży toczonej przy barze „Wiechy".

Panie zawodowo w „Wiesze" rezydujące skarżyły się na niezdyscyplinowanie młodych adeptek i ich niefachowość. Wszystkie Wiechistki (to nie jest od nazwiska Wiech) mają swoją „personalną", pochodzącą z wolnego wyboru, która kieruje je do gościa, rozsądza spory i dyktuje ceny. W kwestii cen obowiązuje solidarność. Wolno je obniżać tylko wszystkim pannom razem, w miarę upływu czasu, który nie przyniósł nadmiernego popytu i tylko na drodze demokratycznych uchwał. I oto wciąż się zdarza, że młode stosują dumping indywidualny.

„Młode pokolenie nie ma zrozumienia" — oświadczyła mi „personalna".

„Gazeta Świetlna", którą jak państwo słyszeli, wielkim nakładem kosztów zainstalowano na MDM, aby stolica nie wyróżniała się spośród innych stolic europejskich, jest zazwyczaj nieczynna. Zresztą i wtedy gdy świeci nie grzeszy ona poczytnością. Dlaczego? Proszę czytać: p—rz—y—p—y—ł—a w—cz o—r—a—j d—o p—e.

Teraz pogawędzimy sobie na byle jaki temat, aby tylko była ta przerwa, którą należy odczekać aż ukaże się na dachu domu dalszy ciąg. No, zróbmy to ulgowo. Przypuśćmy, że już. A więc proszę oto i ciąg dalszy: w—n—e —g—o m—i—a—s. Gdy pisali kto przybył, byliście jeszcze na Pięknej. Na wieść o tym dokąd i po co przybył nie macie cierpliwości czekać.

Teraz sprawa ważna. Ciuchy padły. Nie chodzi tam

już pies z kulawą nogą. Nie ma po co. Natomiast nie słabnącym powodzeniem cieszą się prywatne sklepiki w parterowych pawilonach przy Marszałkowskiej róg Alei i na Bagnie. Jest to o tyle dziwne, że każdy z nich ma to samo na składzie. Najwyższe ceny — największa tandeta. Jest to jakby jeden sklep podzielony na setki stoisk, z których każde sprzedaje dosłownie te same towary. Bardzo mnie dziwi jak oni to robią, żeby mieć na półkach dokładnie to samo co kilkuset konkurentów.

W dziedzinie klimatologicznej to na ulicach wiosna i Massina. Włoska aktorka ubrana jest w polski strój narodowy: z lewej strony reż. Antoni Bohdziewicz, z prawej strony reż. Jan Rybkowski. Bardzo jej do twarzy. To już wszystko o życiu intelektualno-kulturalnym stolicy.

Wasz
**BOGUMIŁ BRECHTA**

## Specjalny korespondent „Odgłosów"

## MARK HAMP

## donosi z USA:

# W przededniu sezonu ogórkowego

Sezon ogórkowy w USA jeszcze nie nastał — ale masę takich właśnie ogórkowych wieści prasa prawie każdego dnia podaje. Niektóre z tych „wydarzeń" są śmieszne, inne mało ważne, wszystkie jednak czyta się z ciekawością, niedowierzaniem i podziwem dla inteligencji ludzkiej, która najwidoczniej nie zna granic i miary.

Zdaje się, że nareszcie tajemnica tzw. „latających talerzy" została wyjaśniona i tym tematem nie powinni się chyba ludzie dłużej przejmować i kłopotać: USAF czyli lotnictwo Stanów Zjednoczonych w wydanym niedawno komunikacie oświadcza, że w posiadaniu tegoż lotnictwa wojskowego są już od dłuższego czasu prototypy „latających spodków". Zbudowano je i wypróbowano w zakładach lotniczych Marquardta w Ogden, w górzystym stanie Utah. Zaletą samolotów zbudowanych w kształcie „talerzy" nie jest ich szybkość — prototypy idą znacznie wolniej od odrzutowców i żaden jeszcze nie potrafił przebić bariery głosowej, ale za to są to „narzędzia lotnicze" o szczególnie wysokich możnościach manewrowania: „latający talerz" USAF może bez trudu iść „jak kamień" do góry i na dół — bez zmiany pozycji — jak również może nagle zamiast w przód, iść w bok pod każdym kątem i to bez „nawracania" — po prostu za naciśnięciem guzika „talerz" nagle idzie w bok.

Ten wehikuł powietrzny może latać bardzo nisko i bardzo wysoko, może manewrować w górskich dolinach i kanionach bez obawy uderzenia o ściany czy wywrócenia prądami powietrza. Co najważniejsze jednak ów „latający talerz" potrafi zmylić czujność pikiet i płotów radarowych i przedrzeć się w głąb strzeżonego terytorium nie zauważony. Wydaje się mi, że owe „talerzykowe" widzenia i przywidzenia, jakie raportowano z pięciu kontynentów w tym komunikacie USAF znalazły swe prozaiczne rozwiązanie: jeśli rzeczywiście widziano „coś" na niebie to były prawdopodobnie te „talerzyki" z Ogden w Utah. Fakt, że najwięcej obserwacji dokonano w sąsiadujących z Utah stanach chyba najlepiej tę teorię potwierdza. W każdym razie z ogłoszeniem komunikatu USAF dzikie teorie o statkach powietrznych z Marsa i Wenus nagle wzięły w łeb, a rozliczne talerzykowe towarzystwa stoją w obliczu ruiny.

Jeśli już piszę o wynalazkach to muszę dodać, że ukażą się niedługo na rynku amerykańskim samochody o silniku aluminiowym, co ułatwi umieszczenie silników z tyłu nadwozia i nada wozom amerykańskim więcej balansu i tzw. „drogowości". Wnętrza wozów będą też z tego powodu dużo wygodniejsze— obecnie „driving shaft" rozdziela bazę karoserii stromym garbem i nawet największy detroicki samochód z tego powodu nie może pomieścić wygodnie więcej niż czterech pasażerów. Silnik aluminiowy będzie więc wstępem ku lepszemu i pierwszym, naprawdę rewolucyjnym, wydarzeniem na rynku automobilowym USA.

Jest to też wstęp na drodze do budowania wozów o nadwoziu z plastiku lub aluminium. Jesienią br. na rynku ukażą się pierwsze małolitrażowce amerykańskie. Ford wyjdzie aż z dwoma modelami, Chevrolet i Chrysler wypuszczą po jednym.

Kontynuując ptasie tradycje nazw dla takich wozów Ford nazwie jeden ze swych modeli „Falcon" czyli „sokołem", Chrysler zarzeka się, że wóz małolitrażowy tej marki nazywać się będzie „Silver Eagle" — srebrny orzeł.

29 kwietnia Ford znów świętował swego rodzaju jubileusz — w dniu tym zakładv fordowskie w Rouge wypuściły na rynek wóz 50-milionowy. W swej długiej historii (blisko 60 lat) Ford właściwie nauczył USA jeżdżenia wozem i z błotnistego bezdroża i porosłej trawą i burzanem prerii stworzył ucywilizowany kraj miast i miasteczek połączonych nareszcie szlakami dróg i autostrad. Jeszcze to niedawne czasy w Ameryce, gdy odcinek drogi liczący 30 km przebywało się po wertepach w ciągu dwu dni.

Muszę odnotować tu także, że ukazała się na księgarskim rynku Ameryki przechwalona książka „do czytania" Tyrmanda „Zły". W Polsce tę książkę, rozchwytywano na wagę złota i drogich kamieni, co pewnie autorowi dobrze przewróciło w łepetynie. Na Zachodzie nawet najzaciętsi wodzowie tzw. emigracji powitali ją wzruszeniem ramion. Co to właściwie jest? Zorro? Elfego el gato Baca? Warszawski Robin Hood? Takich książek, na to samo kopyto, pełno jest w każdej amerykańskiej bibliotece, zwykle w piwnicy, w wstydliwym kąciku zwanym „juvenile sensations".

Wydanie „Złego" było chyba manewrem politycznym — zimna wojna od dość dawna rozszerzyła się na pole literatury i w ogóle sztuki i tym chyba można sobie tłumaczyć obdarzanie względami i nagrodami różnych arcynudnych pił. Z literatury polskiej nie można amerykańskiego wydawcy zainteresować opublikowaniem rzeczy Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza czy nawet pisarzy przebywających na emigracji — ale idzie oto taki „Zły" pod szumnym tytułem „Człowiek o białych oczach".

A co mówi krytyka? Książka Tyrmanda została bardzo ostro skrytykowana i wyśmiana przez prasę masową.

Momentów użyteczności politycznej w tej książce nie znaleziono, stąd pewnie złość. Pisma literackie, miesięczniki inteiektualistów odnotowujące lepsze książki autorów zagranicznych Tyrmanda zupełnie zignorowały.

22 kwietnia br. apostołowie sekty „adwentystów siódmego dnia zmartwychwstania" zebrali się na pustynnym stepie w okolicy Waco i czekają tam w namiotach na koniec świata. Ich prorok, a prorocy w Ameryce szczególnie obrodzili, zakomunikował, że w dniu tym wybuchnie wielka wojna w Afryce i będzie to początkiem końca świata — jeśli zaś nie nastąpi to natychmiast — to może „trochę później". — Sekta więc pości, praży się w słońcu południa i czeka cierpliwie, ale końca świata jakoś nie widać.

Nie pierwszy to zresztą raz. W mojej kartotece dotyczącej tej właśnie ważnej sprawy mam listy i orędzia zwiastujące koniec świata trzynaście razy w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Ale czy jest to tylko jedyny objaw masowej czy oficjalnej głupoty?

W USA od kilku lat trwa tzw. „czerwona nagonka", „polowanie na czarownice" itp. Za życia senatora Josepha Mc Carthyego z Wisconsin nagonki te przybierały rozmiary skandaliczne, teraz jest znacznie lepiej, ale czy naprawdę lepiej.

Przy każdej prawie pracy żąda się przysiąg wierności i lojalności — jakby szpieg zastanawiał się długo czy taką przysięgę złożyć czy nie! Do jakiego stopnia nonsensu to doszło, niech świadczy fakt z jednej ze szkół w Kalifornii: od ucznia piątej klasy szkoły podstawowej zatrudnionego w czasie przerwy przy rozdzielaniu gorących posiłków swym kolegom zażądano „przysięgi lojalności", że nie jest i nigdy nie był członkiem organizacji wywrotowej. Chłopak liczy sobie teraz dziesięć lat!

Po niedawnym uwięzieniu dwu chłopców murzyńskich w wieku lat 9 za to, że pocałowała ich biała dziewczyna jest to chyba najbardziej jaskrawy objaw tępoty.

Do tej samej kategorii zaliczyć można takie rzeczy, jak umieszczanie na wystawie zagranicznej „domków przeciętnego człowieka" wyposażonych w meble i urządzenia, o których przeciętny człowiek śnić nie może. Na jednej z wystaw „za kurtyną" umieszczono ostatnio urządzenie kuchni kosztujące tutaj po cenach hurtowych 2.700 dol. — czyli więcej niż zarobek całoroczny 23 proc. rodzin amerykańskich. Czego tego rodzaju „wystawianie" ma dowieść, prasa amerykańska nie może zrozumieć.

LESZEK WITCZAK

# Nie wyrośnięta Łódź

Foto: EDWARD ETLER

Trzydniowy pobyt w Pabianicach przyniósł mi w rezultacie: jedno ciekawe spostrzeżenie (nie wiadomo, gdzie właściwie zaczyna się to miasto), jedną cenną informację (kawiarnia z dansingiem „Mocca" przez pięć dni tygodnia świeci pustką, nie licząc paru wojewódzkich kociaków, a w soboty i niedziele odwiedzają ją tłumnie łódzcy turyści bez żon, za to z nadzieją na dobrą zabawę, ewentualnie załatwienie jakiegoś interesiku) i jeden zasłyszany skandalik (miejscowi profani buchnęli z figury Matki Boskiej koronę, co wywołało zrozumiałe poruszenie wśród kobiecego narodu)....

W sumie na każdy dzień przypada jakaś notatka, ale jak na reportaż to diabelnie mało — tak stwierdzili redaktorzy wyprawiając mnie na następne trzy dni do miasta Pabianic...

* * *

Tym razem zebrałem materiał znacznie obszerniejszy, niestety, już nie tak rewelacyjny. Będzie najpierw mowa o pamiątkach historycznych. Poczesne miejsce wśród nich zajmuje renesansowy zamek z XVI w. oraz, równie stary, kościół św. Mateusza. Jeden i drugi został doszczętnie wyeksploatowany przez redakcję „Życia Pabianic" (odcinkowe publikacje związanych z nimi legend). Mniej cenionymi przez tutejszą gazetę zabytkami są walące się, drewniane rudery, prawdopodobnie z epoki rękodzielniczej. Co trzeci dom w Pabianicach — to drewniak. Stąd specyficzna sytuacja miasta — na niespełna 4.000 budynków jakieś 1.800 wymaga kapitalnych remontów!

Rzadko spotykanym zabytkiem są także kocie łby a la car Mikołaj na połowie pabianickich ulic (na drugiej połowie nie ma nawet kocich łbów).

Sto kilkadziesiąt lat temu grupka przedsiębiorczych niemieckich kolonistów — tkaczy z Gotliebem Krusche na czele postawiła na nogi podupadłą acz bardzo starą mieścinę — Pabianice... W spadku po Gotliebie Krusche została fabryka, przypominająca średniowieczną fortecę (dziś Pabianickie Zakłady Przemysłu Bawełnianego), a z owych czasów spora garść pamiątek. Przede wszystkim nóbstwo urządzeń komunalnych. Na 104 km pabianickich ulic funkcjonuje zaledwie 14 km kanałów i 7 km wodociągów. Część peryferyjnych ulic pozbawiona jest światła. Dają się we znaki trudności komunikacyjne. Ojcowie miasta myślą o wprowadzeniu okrężnej linii autobusowej... Cóż, kiedy pabianickie bruki wykończyłyby szybko każdy autobus.

Cokolwiek złego wymyślono w Łodzi nie ominęło i Pabianic. A więc także tragedia mieszkaniowa. Kilka tysięcy podań zalega kwaterunek. Co prawda młode spółdzielnie mieszkaniowe budują na potęgę, ale znów pabianiczanie skarżą się, że w spółdzielczych blokach trudno mieszkać; powszedni chleb. Podziw natomiast wzbudził u mnie niezwykle uproszczony proceder załatwiania takich spraw, jak zamiana mieszkań... Urzędnicy kwaterunku mają doskonałe rozeznanie terenu, idą petentom jak najbardziej na rękę i nie posługują się biurokratyczną wyżymaczką: co za sensacja jak na łódzkie stosunki!

Parę słów należy się jedynemu tutejszemu szpitalowi. Z 80 łóżek oddziału gruźliczego korzysta całe województwo łódzkie. Gruźlica nie jest u nas chorobą ekskluzywną, skutki więc łatwo sobie wyobrazić. Inne kwiatki z tej łączki. Oto chore dzieci bawią się w piasku deptanym przez gruźlików, w pralni panują wybitnie antysanitarne warunki itd. Pabianiczanie zrobili dla swego szpitala, co mogli (istnieje Społeczny Komitet Budowy Szpitala), reszta zależy już tylko od Ministerstwa Zdrowia.

* * *

Pabianice są miastem o zwichniętej nieco strukturze ekonomicznej. 80 proc. mieszkańców żyje z przemysłu, ciągle zbyt mało ludzi utrzymuje się z usług (zdaniem uczonych nie świadczy to o wysokim standardzie życiowym miasta). Dominuje, oczywiście, przemysł włókienniczy z imponującą cyfrą przeszło 14 tys. zatrudnionych. (Całe Pabianice liczą 54 tys. mieszkańców). Prócz tego rozbudowany jest przemysł chemiczny, metalowy, papierniczy... Zakłady Farmaceutyczne „Pabianice", jedne z największych w Europie, eksportują 19 specyfików do 29 krajów; niemal wszystkie tutejsze zakłady coś gdzieś eksportują: Fabryka Urządzeń Mechanicznych — maszyny do Egiptu, Indii, Chin, nie mówiąc już o Europie. Spółdzielnia Pracy „Pabianiczanka" dla odmiany zabawki do NRF, Anglii, St. Zjednoczonych. Pewnie tylko staruszka Papiernia, o której zapomniałem wyliczając zabytki, ogranicza się do rynku krajowego.

Trzy tysiące osób dojeżdża do miejscowych zakładów z Łodzi, Łasku, Sieradza, Zduńskiej Woli, okolicznych wsi. A rynek pracy ciągle jest nienasycony. Przypatrzeć się bliżej Pabianicom — to istny Wezuwiusz przemysłowy w prowincjonalnym miasteczku... Tłumacząc na „szarą prozę" niewyrośnięta Łódź.

* * *

Sprawy programu rozwoju kultury miasta Pabianic (1959—1965) kwituje wzmianka o dwóch kinach, które całkowicie pokrywają zapotrzebowanie „na tym odcinku". Właściwie i tu nie ma się do czego przyczepić. Tradycja województwa została utrzymana (woj. łódzkie zajmuje ostatnie miejsce w Polsce pod względem wydatków na kulturę). A jeśli przy szybkim wzroście cechującym Pabianice okaże się za lat trzy lub cztery, że owe dwa kina nie wystarczają — pabieniczanie będą mogli jeździć do Łodzi.. Przynajmniej łódzkie kina nie zrobią plajty z braku widzów.

Jest w Pabianicach Dom Kultury, dysponuje trzema świetnymi zespołami dramatycznymi (dziecięcy, młodzieżowy i dla dorosłych). Dały one kilkanaście ciekawych premier, cieszących się wielkim uznaniem pabianiczan i nie tylko pabianiczan... Grają w prymitywnej, przeciążonej sali MRN. Budowy porządnej sali widowiskowej dla miasta nie zaplanowano. Natomiast, jak wieść gminna niesie, z dużym mozołem zaplanowano zdobycie tytułu mistrza III ligi przez KS „Włókniarz".

Poza tym kulturalny żywot Pabianic jakoś tam się toczy.. W barze mlecznym pod napisem „parówki na gorąco" co rusz wykwita nowy afisz — a to znanego zespołu muzycznego, a to znanego teatru z zewnątrz..

Namiętnością pabianiczan są chóry śpiewacze, których tradycja sięga odległych lat przedwojennych. Młodzież ma okazję do wyżycia się w klubie ZMS-owskim „Piekiełko".

Co prawda od czasu do czasu słychać utyskiwania na intelektualną atmosferę, ale ponieważ nikt z nas dokładnie nie wie co to znaczy, nie warto się na ów temat rozwodzić.

Część I artykułu „W chandrze Bystrzyckiej" ukazała się w 20 nr „Odgłosów"

### KORYTARZE

Pokoje i piętra. Długie korytarze. Siedzę w hallu Domu Akademickiego z Markiem P. Wieczór, godzina jedenasta.

— Czy masz jakieś marzenia, plany na przyszłość?

— Chciałbym być humanistą — odpowiada stanowczo.

Humanizm był moją obsesją w czasie wędrówek po korytarzach. 130 kroków tam i z powrotem. Mierzę atmosferę społeczności akademickiej ilością kroków. Mierzę atmosferę społeczności ilością fotosów aktorek, poprzyklejanych na ścianach. Ściany są brudne. Kiedyś mieszkali tu studenci Politechniki.

— Trudno się tu uczyć, szczególnie w czasie sesji. Pokoje cichej nauki nie wystarczają, świetlica też — uprzedzono mnie na początku. Świetlica nie ma zresztą odpowiedniej atmosfery. Brak gier, gazet. Ktoś się uczy, ktoś się z kimś spotyka. Tylko w bocznej salce warczy telewizor. Więc mało kto tutaj przebywa, każdy ucieka do pokoju. Tam można zagrać w brydża, w „oko", i w pokera. Rekord „oka": trzy doby bez przerwy w dymie papierosów, w oparach hazardu. Pokerzyści stanowią niewielką i niezmienną paczkę.

— Czy hazard jest rozrywką? — pytam studenta F. G. On właśnie za swej kadencji w ZSP sprowadził literatów na Bystrzycką.

— Czasem hazard jest koniecznością, częściej jednak rozrywką. Są studenci, (repetujący), którzy nie otrzymują stypendium i żadnej pomocy z domu. Oni właśnie żyją z wygranych.

— A studenckie spółdzielnie usługowe?

— Uległy likwidacji.

Oglądałem regulamin domu. Rozdział III p. 9 orzeka: „Zabrania się gry w karty w pokojach mieszkalnych". Sprawę alkoholu regulamin przemilcza. Tymczasem niektórzy studenci piją. Czasem za stypendium, wygrane w karty, czasem przy okazji. Okazji jest dużo: egzamin (kolokwium) zdany, oblany, szczęście, nieszczęście, imieniny, stypendium i chandra. Sprzątaczki wynoszą po kilkanaście butelek z każdego pokoju. Każda butelka to złotówka. Można sobie dorobić.

— Pijaństwo to problem. Napisz o tym — zwierzał mi się ktoś w przystępie szczerości.

Rozmawialem do czwartej rano, kiedy to zaczęły się późne studentów powroty w dniu wypłaty stypendium. Już same tylko podpite głosy w korytarzu sygnalizowały problem. Umywalki też. O umywalkach regulamin nie wspomina. Jedyny jego egzemplarz znajduje się w administracji. Ciekawy dokument.

— Utopia, utopia — jak powiedział jeden ze studentów. Za to realia są zaskakujące. Niedziela, noc. Pod drzwiami blisko 10 waletów. Walet, to osobnik, który chce bezprawnie nocować w „akademiku". Portier jest nieugięty — żąda wejściówek. Tym razem się nie udało. Czasem się udaje.

Regulamin w rozdziale II p. 13 rozstrzyga:

„Przyjmowanie przez mieszkańców DS osób z zewnątrz na nocleg lub czasowe zamieszkanie w DS jest zabronione".

W jednym z domów zdarzyło się, że ex-student Politechniki blisko trzy miesiące mieszkał w pokoju z czterema dziewczętami.

— Czy tradycja waletów zamiera? — pytam znowu F. G.

— Raczej tak. Minęły czasy, kiedy sam rektor natknął się w jednym z pokoi na 18 waletów.

Często waletów zwalczają sami studenci. Dziś już przepędzają ich z reguły. Rektorzy bywają w domach akademickich co kwartał. Uczestniczyłem kiedyś w spotkaniu rektora AM prof. Lipca ze studentkami. Dyskutowano wyłącznie o zepsutej pralce. Odmienny charakter mają spotkania rektora UŁ prof. Szpunara i dziekanów: prof. prof. Piątowskiego i Wróblewskiego w „akademiku" Uniwersytetu. Spotkania te sygnalizują, że władzom Uniwersytetu nie są obce sprawy środowiska studenckiego. Stąd też pewna poprawa ogólnej atmosfery w miasteczku.

W jednym z lutowych numerów „Kulis" poruszona została sprawa odwiedzin w łódzkich Deesach. Prawo do odwiedzin mają osoby tej samej płci. Mimo to zdarza się, że dziewczęta nocują u chłopców. Historyczną drogę przez kotłownię odkryto. Teraz pozostało tylko wchodzenie przez okna na parterze. Dwaj młodzieńcy dostali się do remontowanego „akademika" żeńskiego dzięki rusztowaniom. Weszli na trzecie piętro (I DS). Portier schwytał ich. Schodzili tą samą drogą.

— Co panowie robicie tutaj pod oknami?

— Czekamy. Dziewczęta spuszczą nam kolację.

Zgodnie z prawem odwiedziny odbywają się w halu. W domach żeńskich sceny z paryskich bulwarów. W foyer pary całują się od godz. 18 do 22 nie zważając na innych. Potem zostają rozłączone. Oporni są zapisywani w specjalnych zeszytach.

W I DS straszy oczy żelazna krata. Krata to symbol. Próba odgrodzenia młodych od pewnych problemów. Cóż z tego, że jest to sprzeczne z naturą? Problem właściwego stosunku chłopca do dziewczyny nie od dziś spędza sen z oczu wychowawcom. Nie jesteśmy pewni, czy został dobrze rozwiązany na Bystrzyckiej.

Studenci twierdzą, że domy akademickie to koszary. Nie o koszary tu chodzi. Wolności jest dużo. Chodzi o korytarze, które są obce. Z korytarza wchodzi się do pokojów. W każdym stół, kilka łóżek. Metraż za mały, ale jeden z lepszych w Polsce. Mężczyźni prowadzą „gospodarstwa komunistyczne". Dziewczęta zamykają żywność jedna przed drugą. A jednak istnieje poczucie społeczności, solidarności. Student, który się wyraził o swych kolegach „że to cholota", nie jest lubiany. Zaproponował jednemu ze współmieszkańców wspólne otrucie gazem. Czuje się winny. Choruje często na chandrę. Chandra to nuda. Dobrym lekarstwem na nudę

jest Studium Wojskowe. Większość oficerów ze Studiów Wojskowych cieszy się autorytetem wśród studentów. Czasem zjawiają się w „akademiku". Delikatnie łagodzą spory. Często są dobrymi pedagogami. Obok władz uczelni jest to drugi czynnik powoli, lecz skutecznie porządkujący życie miasteczka.

A zainteresowanie sportem?

— Duże. Sytuacja w lidze piłkarskiej jest komentowana przez wszystkich. Sport znakomicie wypełnia wolny czas. Podobnie — śpiew, tańce, wycieczki. Studenci dużo czytają.

Niekiedy zdarzają się dziecienne pomysły. W zawodach „kto wypije więcej czajników zimnej wody" padł rekord — trzy czajniki „na twarz"! W jednym z pokojów napojono przy mnie studenta przymusowo. Nie oddał w terminie żelazka.

— Mam chore gardło. Przeziębiłem się.

Wodę podgrzano na maszynce. Wypił litr.

Ostatnią noc spędziłem na pisaniu (27 doba w „akademiku"). Kupując lemoniadę przedstawiłem się portierowi.

— Napatrzył się pan, co?

Stałem odwrócony plecami do korytarza. 130 kroków długości. Na takiej przestrzeni musiałem zgromadzić wszystko. Dziesiątki spotkań z żywymi ludźmi. Twarze znad podręczników. Kolegów, którzy przyszli z zacofanych środowisk. Wysiłki, przeżycia, wspomnienia. Recytacje Gałczyńskiego i Przybosia.

Korytarz był ciemny, obcy. Ale gdzieś w mroku kryły się szaleństwa młodości, pierwsza miłość, zapał do pracy, lenistwo, wielka młodzieńcza przyjaźń i małe zawiści.

### CZOŁEM, ACHMED!

Siedzimy z Achmedem w stołówce UŁ przy ul. Piotrkowskiej. Jest sudańskim Murzynem, przyjechał na studia do Polski.

— Czołem, Achmed, — wołają co chwila wchodzący studenci.

— Czy czujesz się dobrze w Polsce? — pytamy.

— Bardzo dobry ludzi — mówi Achmed — bardzo dobry. I Łódź.

Na łódzkich wyższych uczelniach studiują studenci z czternastu krajów. Część ich mieszka przy ul. Bystrzyckiej. Za studia płacą 18 funtów szterlingów miesięcznie.

Nasi studenci odnoszą się do nich bardzo przychylnie. Często stają się ich najbliższymi przyjaciółmi. Pomagają im w szybkim opanowaniu języka polskiego. W gruntownym poznaniu polskiej rzeczywistości. Widać tu wielkie osiągnięcia Partii i organizacji młodzieżowych, które umiejętnie zaszczepiają ideę internacjonalizmu. Wszelkie przejawy rasizmu są ostro potępiane przez studentów. Mimo to można czasem usłyszeć:

— Panowie, to takie czarne. I po co to się uczy? Czy to aby ludzie? — pyta nas w dobrej wierze jedna z kucharek w stołówce. Przykład ten coś mówi. Głupota to, czy niewiedza? Żałosne jest, kiedy podobne pytania zadają ludzie wykształceni.

Wśród dziewcząt istnieje snobizm egzotyki. Na „miłosnej giełdzie" studentki najwyżej cenią sobie Arabów i Hindusów. Dziewczęta chodzą z cudzoziemskimi kochankami gdzie tylko się da, wszędzie, gdzie można się nimi pochwalić. Czasem jest to głęboka miłość, czasem owczy pęd za egzotyką. Trafnie powiedział hinduski poeta:

„Nie zgadnie sam Wielki
Sziwa,
Kogo miłuje kobieta".

Obcokrajowcami interesuje się też pewien określony gatunek kobiet. Ich zainteresowanie ma jednak inne podłoże. Achmed nazywa je pogardliwie „maniuta" lub „szermuda". W wolnym przekładzie znaczy to „kobieta powłóczna". Fakty przyjaźni studentów polskich z obcokrajowcami, fakty opieki nad nimi dobrze świadczą o naszej młodzieży. Może już niedługo zostaną skreślone ostatnie ślady po rasizmie.

### POKOLENIE

Osiedle akademickie nie jest izolowane od miasta. Problemy miasteczka nie są izolowane od problemów młodzieżowych w ogóle. Są nawet ich wykładnikiem. „Karabela została na strychu" jak napisał Grochowiak. Pisze on, że jesteśmy za mało młodzi. Skąd ta teza? Zapraszamy pana Grochowiaka na kilka dni do „akademika". Młodzi lubią pozować na zgorzkniałców. Redaktor naczelny „Współczesności" podobno też. A jak jest rzeczywiście z młodzieżą? Każdy chłopiec to przecież naturalne, ma swoją dziewczynę, każda dziewczyna ma swojego chłopca. Kończą studia, pobierają się. I nie kończą studiów źle. Łódzkie wyższe uczelnie osiągają przecież dobre wyniki nauczania w skali krajowej.

Absolwenci wyjeżdżają na prowincję. Tam zostają pozytywnymi bohaterami wbrew intencjom publicystów. W działalności społecznej odnajdują sens życia.

K. P. dwa lata temu ukończył studia. Obecnie jest nauczycielem w małym miasteczku.

— Praca społeczna — to moje hobby — powiedział do jednego z nas przed kilkoma miesiącami. — Bez niej moje życie nie byłoby pełne. Odczuwałbym jakiś niedosyt. Człowiek musi działać społecznie, praca to niezły wynalazek. W ten sposób spłaca społeczeństwu dług. Wykształcenie studenta nie jest takie tanie.

Jerzy Urbański w artykule „Witaj DEESIE" („Od nowa" nr 8 i 9 z br.) proponuje wypłacić każdemu ze studentów zamieszkujących „akademik" po 180 zł (tyle wynoszą koszty państwa w DS) na wynajęcie pokoju „przy rodzinie". Pomijamy nierealność projektu. Tu chodzi o korytarze, tu nie chodzi o wynajmowanie mieszkań na mieście. Trzeba po prostu w „akademiku" stworzyć atmosferę ufności, żeby każdy czuł się jak „przy rodzinie". To się zresztą już robi.

Trzeba młodych od początku przygotować do życia w społeczeństwie. Izolacja jest niemożliwa.

— Teren miasteczka powinno się ogrodzić, żeby nie przychodził tu nikt obcy — usłyszeliśmy od jednej z pracownic stołówki na Bystrzyckiej. Tak właśnie ludzie krótkowidzący podchodzą do niewygodnych problemów. A może postąpić inaczej? A może właśnie otworzyć miasteczko szerzej? Może postarać się o przeniesienie życia studenckiego ze śródmieścia Łodzi właśnie tutaj, na ulicę Bystrzycką? Nie proponujemy przeniesienia teatru „Pstrąg", czy choćby „Hurmaczka" do osiedla. Zaczniemy od innej propozycji. Należy bezwzględnie spowodować zakaz sprzedaży wszelkiego rodzaju alkoholu na ulicy Bystrzyckiej i w pobliżu. Warto pomyśleć o kawiarni czynnej cały tydzień. Piękne pole działania dla ZSP i ZMS. Przestańcie się ukrywać. Przenieście życie studenckie na Bystrzycką. A dorośli? Trzeba pomyśleć o odrzuceniu przez pokolenie starszych tradycyjnych uprzedzeń. Trzeba na pewne sprawy spojrzeć bez zacietrzewienia i współcześnie.

A młodzież? Młode pokolenie? Jest takie jakie je znacie ze skwerów, z wyższych uczelni, z pociągów. Jest bardzo złożone. I często się boi. Boi się korytarza, boi się życia opartego wyłącznie na regulaminie, ogrodzonego płotem.

Wyjście z korytarzy jest możliwe. Nie widzieliśmy studentów w pracy nad upowszechnieniem kultury. Czy to takie trudne? Bardziej doświadczeni poloniści mogą zdobyć świetlice. Milenium stwarza okazję dla historyków. Ileż mogliby zyskać nauczyciele na kontaktach z socjologami? Nie wykorzystujemy wiedzy łódzkich studentów. Przyszły inżynier już dziś może podzielić się wiedzą z młodym robotnikiem. Pomijamy już satysfakcję materialną.

To jest właśnie jedna z dróg otwarcia miasteczka akademickiego, powiązania go z potrzebami Łodzi.

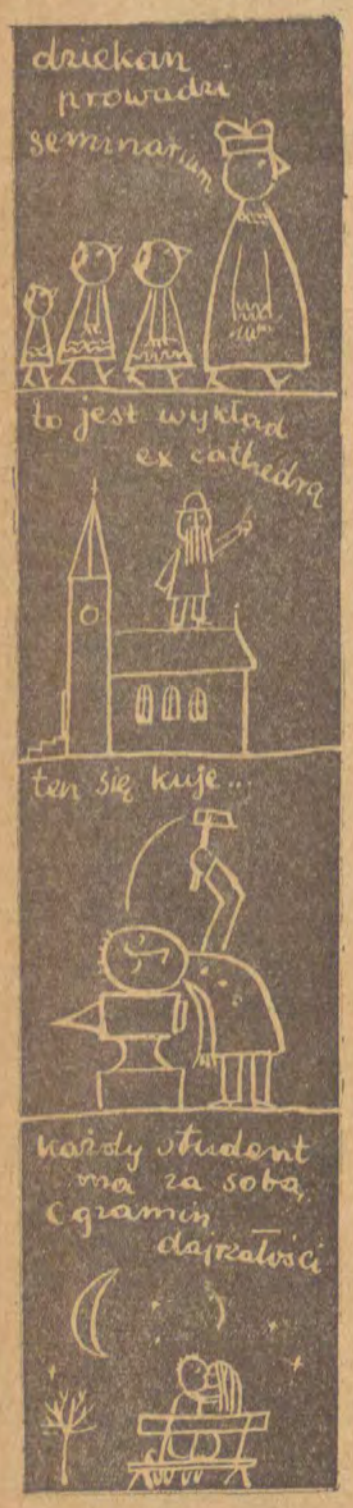

# PALETA

pod redakcją
HENRYKA ANDERSA

*Arturo Martini, Dziewczyna o wieczorze, 1913*

Język plastyczny, co to za dziwoląg? Co to znaczy?

Pytanie dość zaskakujące po kilku miesiącach pogawędek w Palecie. Widocznie nie dopełniłem jakichś formalności wstępnych. Zaraz to uczynię.

Istnieje pewien zasób terminów fachowych, używanych na oznaczenie rozmaitych, zróżnicowanych zjawisk występujących w sztukach plastycznych, zjawisk związanych z techniką produkcji, jak też z warstwą koncepcji twórczych. Terminów takich, mniej lub więcej ścisłych — jak np. „akwaforta", „fryz", „martwa natura", „światłocień" — jest bardzo dużo. Niektóre z nich znane są potocznie, inne dostępne i potrzebne jedynie specjalistom, wszystkie jednak — choć dotyczą plastyki — wchodzą w skład ogólnego słownika wyrazów polskich i należą do języka literackiego.

Czymś zupełnie odmiennej natury są elementy słownictwa plastycznego. Od form najprostszych — jakichś pojedynczych, nieartykułowanych jeszcze „śladów", jak kreska czy plama — przechodzimy do coraz bardziej złożonych: znaków, słów, zdań i całych utworów. Owe układy formalne, które pozwalają odbiorcy uzmysłowić sobie zamysł autora, nazywamy środkami artystycznego wyrazu.

Środki te mogą być bogate lub ubogie. Jak wiadomo, można porozumieć się czasami przy pomocy jednego słowa, zwykle jednak wypowiedź wymaga wielu rozbudowanych zdań. Żeby ją zrozumieć, trzeba znać nie tylko słowa, ale i gramatykę.

Mamy więc dwa różne zakresy pojęciowe: słownik terminów oraz słownik środków wyrazu. Kiedy jednak mówimy o języku plastycznym, używamy pojęcia znacznie bogatszego — by zachować wygodną analogię do literatury — myślimy równocześnie o składni, a nawet o stylistyce.

Bywają dzieła sztuki, które ograniczają się do zwykłego opisu przedmiotów lub zjawisk. Inne opowiadają o zdarzeniach, jeszcze inne mają wszystkie cechy poetyckiej refleksji.

Trafiają się obrazy-nowele i obrazy-powiastki z morałem, bywają fraszki i satyry, bywają również bajki i wiersze liryczne. Jeżeli „Bitwę pod Grunwaldem" Matejki porównamy do ogromnego, patetyczno-bohaterskiego poematu, „Matkę" Rodakowskiego możemy uważać za jakiś plastyczny odpowiednik czystej liryki.

Taki na przykład Rembrandt uprawia typ portretu zwany psychologicznym. Stara się dociec, kim jest i nad czym się zastanawia osoba portretowana. Tematem obrazu jest nie tyle podobieństwo, ile cała bogata psychika modela.

Ale jeśli chcemy powiedzieć tylko jedno, proste zdanie:

„Stoi przed nami człowiek".

Czy takie założenie artystyczne posiada jakikolwiek sens? Oczywiście.

Ktoś przyszedł. Nie wiemy jeszcze kto i w jakich zamiarach. Musimy się jednak jakoś ustosunkować do tego faktu. Odrywamy się od zajęć, przerywamy rozpoczętą rozmowę. Stajemy się czujni, przyjmujemy postawę wyczekiwania.

Być może artysta chciał w nas wywołać właśnie taką postawę. A może postanowił nam oświadczyć: „Stawiam pomnik człowiekowi, panu stworzenia". A może jeszcze inaczej: „Oto człowiek, twój brat".

Jak więc przedstawić człowieka, żeby nie był panem X, Y ani Z. ale, tylko, po prostu CZŁOWIEKIEM?

Jest to jeden z problemów, które rozwiązuje sztuka nowoczesna. Rozwiązuje go zresztą podobnie jak sztuka czasów archaicznych. Między idolem przedgreckim z epoki brązu, a rzeźbą wybitnego włoskiego artysty Martiniego podobieństwo jest uderzające. Trzeba jednak pamiętać, że taka sama wypowiedź, może mieć zupełnie inny sens. Wszystko zależy od naszych własnych doświadczeń.

*Idol, wyspa Amorgos, Cyklady, epoka brązu*

# WALKA z CIENIEM

JULIUSZ JANCZUR

HENRYK WALENDA

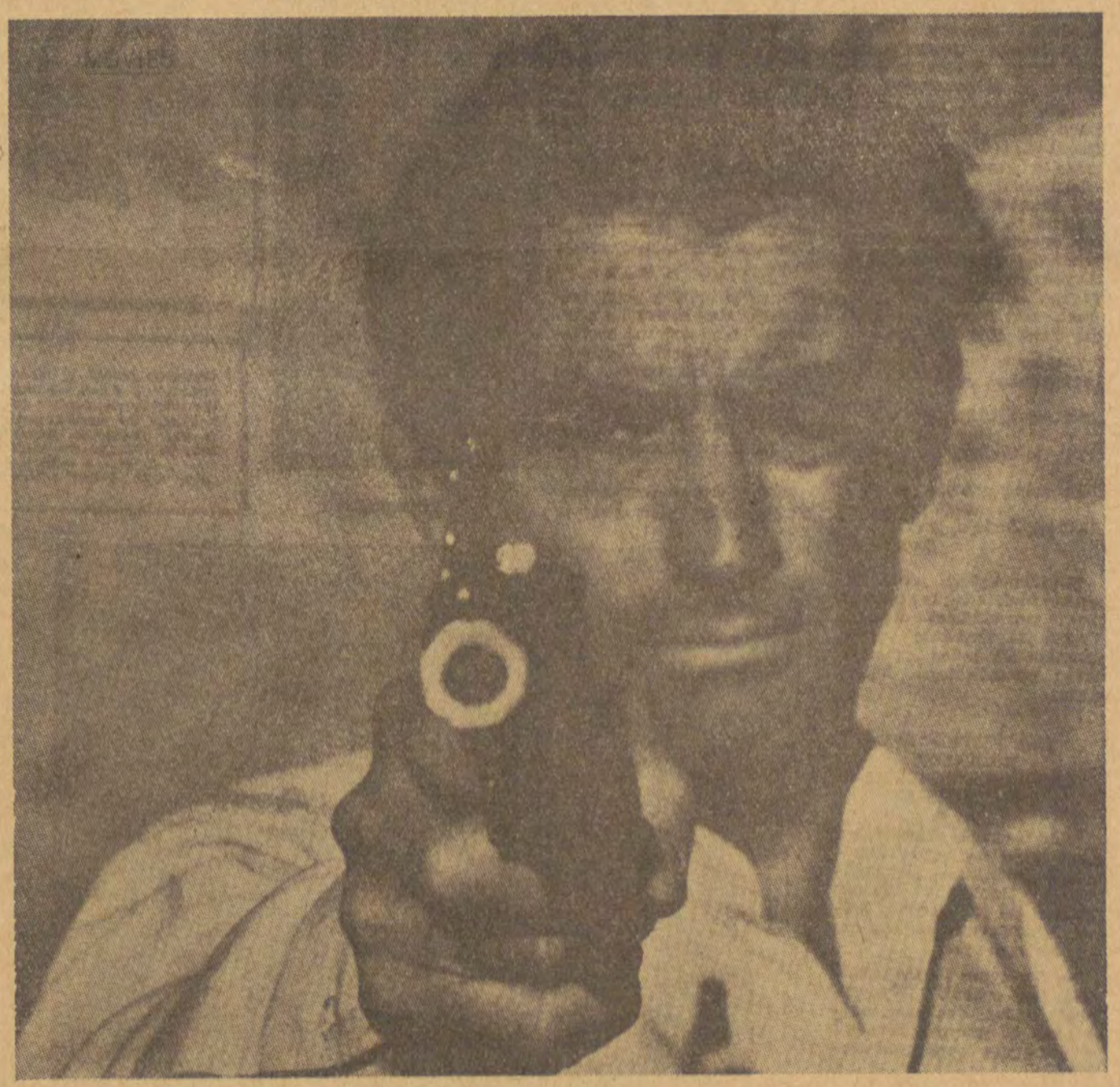

Gdyby ktoś przyjrzał się trzem więźniom zjeżdżającym na nocną zmianę do jednej ze śląskich kopalń węgla, byłby może zdziwiony ich nienaturalnym wyglądem; może by dostrzegł dziwne zgrubienia rysujące się pod pachami. Jednak strażnicy nic nie zauważyli. Trójka więźniów, znalazłszy się na dole, skręciła szybko w jeden z chodników. Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie.

— Szybko! Zdejmujmy te więzienne łachy — szepnął jeden.

— Ludwik, dawaj oliwę! Ty, Mietek, smaruj mi twarz. Potem ja tobie.

— Prędzej, prędzej — popędzali się wzajemnie. — Musimy wyjechać z popołudniową zmianą.

Po chwili z chodnika wynurzyły się trzy postacie, aby przyłączyć się do grupy górników wracających z szychty. W ciemnym chodniku pozostały więzienne ubrania z numerami na plecach i piersiach.

Górnicy rozmawiają między sobą, przekomarzają się. Zbiegowie także prowadzą niefrasobliwą rozmowę, chociaż nerwy mają napięte jak postronki. Strażnicy uważnie lustrują twarze wsiadających do windy. Zauważyli?! Nie. Drzwi zatrzaśnięte, i już ku górze. Lekki wstrząs i drzwiczki otwierają się. Górnicy jeden po drugim opuszczają platformę windy. Tym razem strażnicy ustawieni w rzędzie co kilka kroków, są uważniejsi.

— Uważajcie, pierony — żeby wam, który nie umknął — zażartował jeden ze starszych górników.

— Nie bójcie się — mruknął strażnik — numerów nie ukryją...

Trzeba iść tak jak wszyscy — ani za wolno, ani za szybko, chciaż najchętniej popędziliby ile sił w nogach.

Jeszcze kilka kroków i grupa strażników pozostała za nimi. Odetchnęli.

— Hej, kolego — okrzyk strażnika zabrzmiał w uszach jak strzał armatni. — Uciekasz?

Jeden ze zbiegów ogląda się.

— Uważajcie, bo wam portki spadną — żartuje strażnik.

Rzeczywiście, nałożone w pośpiechu spodnie wymykają się spod paska.

— Dziękuję — uśmiechnął się, błyskając zębami.

Za bramą kopalni można odetchnąć z ulgą. Ucieczka udała się.

* * *

Już chyba pora zapoznać się z osobami zbiegów, gdyż dwóch z nich odegra główną rolę w naszej opowieści.

Pierwszy z nich — Ignasik przyjął na siebie rolę przywódcy. Drugi — Mieczysław Szczepański. Trzeci zaś — Ludwik S. zwany dr Klops*).

Wszyscy trzej są mieszkańcami Łodzi. Pierwszym ich zadniem jest znalezienie środków lokomocji. Do Łodzi.

— Mogli już spostrzec ucieczkę — ostrzega Szczepański. — Lepiej chodźmy polami. W Opolu spróbujemy dostać się na pociąg.

Ale dopiero we Wrocławiu zmęczeni i głodni postanowili szukać okazji do jazdy na gapę.

Szczęście nie opuszcza ich — w ambulansie pocztowym, na zderzakach, zmieniając często pociągi, 11 października 1950 r. docierają do Łodzi.

Wyznaczają sobie spotkanie już na następny dzień w parku 3 Maja.

Ludwik S. opowiada w domu bajeczkę o „zwolnieniu przedterminowym", ale na wszelki wypadek nocuje u jednej z ciotek. Szczepański znajduje schronienie u „kumpla".

Wieczorem w parku 3 Maja można spotkać niejednego „podejrzanego typa". Ale chyba nikt z przechodniów nie przypuszczał, że dwaj młodzi ludzie, którzy najspokojniej siedzą na ławce, przed czterema dniami zbiegli z więzienia. Dwaj, gdyż Ignasik wolał nie kusić losu i wyjechał do Lublina.

— Słuchaj, Marian — mówi Ludwik S. — mam w piecu schowany pistolet „Walter". Dobrze utrzymany. Są też naboje. Może by tak „rozpracować" jakiś sklep?

Ten pomysł wyraźnie przypadł do gustu Szczepańskiemu.

W mroku zapadającym nad parkiem dwaj amatorzy lekkiego chleba prowadzą szeptem naradę.

Owa narada przysporzy potem kłopotów pracownikom służby śledczej, a sprzedawcy sklepów w Łodzi drżeć będą z obawy przed nocą...

**NAPADY... NAPADY...**

W pokoju oficera dyżurnego Komendy Miejskiej dźwięczy telefon.

*...Przyjmijcie telefonogram... w dniu dzisiejszym to znaczy 21 listopada 1950... o godz. 18.30 dwóch nieznanych sprawców dokonało napadu rabunkowego na sklep Centrali Tekstylnej przy ul. Sanockiej 29, skąd zrabowano ponad 5 tysięcy złotych... Dochodzenie prowadzi komisariat...*

Mała kartka papieru, zapisana kopiowym ołówkiem wędruje do Wydziału Kryminalnego. Milicjanci z Komisariatu przeprowadzają dochodzenie, rozpytują o rysopisy przestępców, usiłują odnaleźć ślady, pozostawione przez bandę w sklepie... Pościg nie przyniósł żadnych rezultatów...

Po sześciu dniach dźwięczy telefon w pokoju Oficera Dyżurnego.

*...Trzech nieznanych sprawców zrabowało 4.600 zł ze sklepu PSS nr 315 przy ul. Starorudzkiej 38...*

Dochodzenie prowadzi tym razem inny Komisariat, ale meldunki napływają do Wydziału Kryminalnego.

Wynik pościgu negatywny...

Po trzech dniach próby rabunku w sklepie PSS nr 44 przy ul. Napiórkowskiego 65.

Bandyci zbiegli, spłoszeni alarmem...

*W dniu 2. XII. 50 w sklepie MHD nr 17 przy ul. Zawiszy 11 (na Bałutach) zrabowano 7.000 zł...*

Zostaje zarządzony alarm dla całego stanu osobowego milicji. Wszystkie jednostki rozpoczynają poszukiwanie bandytów. Olbrzymia machina zaczyna się powoli rozkręcać.

Penetruje się środowiska przestępcze, szukając jakichś punktów zaczepienia. Zrabowane sumy są jednak zbyt małe, aby można było zauważyć szastanie pieniędzmi. Bandyci rabowali tylko pieniądze, a w dwóch wypadkach zabrali trochę wódki, pudełka szprotek i papierosów — nic więc nie potrzebowali sprzedawać u paserów czy na czarnym rynku.

Po pięciu dniach nowy napad — na sklep PSS przy ul. Nowotki 127. Zrabowano

*) Ze względu na to, że większość osób występujących w tym reportażu odsiedziała swoje wyroki i pozostaje na wolności — nie ujawniamy ich nazwisk, z wyjątkiem nie żyjącego już Szczepańskiego.

*(Dokończenie na str. 9)*

# REKONESANS w KRAINĘ ROBINSONÓW

Dokończenie ze strony 1

— Janusz Kędzierzowski lektorem w KW.

— Henio Madziejuk zajmuje się turystyką w ZMW.

— Janek Sołoma — instruktor w WK ZSL.

W rozmowie co chwila wtrącają „my", „u nas", „nasze". Widać, że już się zaklimatyzowali, znaleźli swoje miejsce, satysfakcję w pracy, doszli do siebie.

Nie, ci to mi na Robinsonów nie wyglądali. To raczej nowa generacja działaczy społecznych i politycznych, ludzi o szerokich planach i wysokich aspiracjach. To nie robinsonada, ale świadomy wybór. Jeśli z początku miałem wątpliwości co do czystości ich intencji i motywów w tym wyborze a złośliwy cień moich myśli lekko napomykał o karierowiczostwie to już na miejscu przekonałem się, że kariera ta będzie ciężka, żmudna i pełna osobistych wyrzeczeń, a tym samym etycznie jak najbardziej usprawiedliwiona.

### MAZURSKI GÓRAL

Kiedy wreszcie przekonałem Czytelnika o swej głębokiej naiwności, szukając Robinsona niemal w stutysięcznym mieście, możemy udać się w tak zwany „teren". Celem naszym będzie Biskupiec Reszelski, gdzie Antoni Hans jest niezwykłym kierownikiem Powiatowego Domu Kultury. Przyjechał na Warmię z Krakowskiego i tak ukochał tę ziemię, że całe swe życie poświęcił pielęgnowaniu zwyczajów i krzewieniu kultury ludowej tych ziem.

Zdanie to brzmi jak wyjęte z nekrologu, ale Antoni Hans żyje, pracuje, zbiera stare pieśni warmińskie, kolekcjonuje gliniane wyroby ludowych artystów, skupia wokół siebie grono miłośników folkloru warmińskiego, patronuje Towarzystwu Ludoznawczemu itp.

Dzięki niemu Biskupiec stał się jednym z nielicznych w Polsce ośrodków kultywowania pięknych tradycji ludowych, centrum promieniowania polskości, tak niezbędnym dla tych terenów, na których wieloletnia germanizacja głębokie wyryła piętno. Taki typowy może nieco schematyczny bohater pozytywny, ale czyż to wina reportera, że są w Polsce działacze kulturalno-oświatowi z prawdziwego zdarzenia, poświęcający bez reszty cały swój wysiłek narodowej sprawie?

Kiedy Antoni Hans przyjechał przed paroma laty w te strony zastał absolutną pustynię kulturalną. Dziś PDK w Biskupcu wygląda jak muzeum, a jego zespół pieśni i tańca słynny jest w całej Polsce. Członkowie zespołu muzycznego wykonują dla „Mazowsza" regionalne instrumenty muzyczne. M. in. Mira Zimińska zamówiła u nich ostatnio tzw. „Diabelskie skrzypce". Antoni Hans przechowuje z pietyzmem jedyną w Polsce płytę z Kongresu Polaków w Niemczech w 1938 r. na której są nagrane fragmenty przemówień i część artystyczna Kongresu. Pozwolę sobie zacytować fragment przemówienia dr Jana Kaczmarka — kierownika naczelnego Związku Polaków w Niemczech.

**Toteż lud nasz polski w Niemczech dziś wkłada w głoszenie: „JESTEŚMY POLAKAMI" taką dumę, takie uczucie honoru, taką wiarę w zwycięstwo, taką wolę do życia, taką radość zuchwałą, jaką okazuje nasz zuchwały, dumny królewski znak „Rodła".**

Zbyt wiele szacunku mam dla wysiłków Antoniego Hansa, ażeby przyrównywać go do Robinsona. To nie Robinson. To postać bardziej polska. To lepiej — Judym albo Siłaczka, to... Antoni Hans.

### BARD W SPÓDNICY

Anna Kuczke znana jest słuchaczom Polskiego Radia jako ludowa śpiewaczka. Urodziła się i całe swe życie spędziła nad pięknym i owianym tajemniczymi legendami jeziorem Dadaj. Fale Dadaju omywają niemal brzegi obszernego dziedzińca jej gospodarstwa.

Anna Kuczke zna na pamięć ponad 50 pieśni warmińskich. Mówi i śpiewa tylko w gwarze warmińsko-mazurskiej. Dopiero obecnie zaczyna się uczyć pisać i czytać po polsku. Nie wszyscy wiedzą, że pisze również wiersze i układa słowa do swych pieśni, opiewających piękno rodzinnych stron, jeziora, nad którym upływa jej ciche, spokojne życie.

Oto co w jednej ze swych pieśni mówi o sobie:

„Ach ty Dadaju, jezioro moje,
Przy tobie żyję, przy tobie śnię,
Przy tobie pracuję, przy tobie płaczę
Dadaju, Dadaju, jezioro moje"

Z okien domu naszej ludowej pieśniarki, żywej skarbnicy warmińskiego folkloru widać już wyraźnie wyspę zamieszkałą przez legendarnego warmińskiego Robinsona.

### CZY PRAWDZIWY ROBINSON JEST RZECZYWIŚCIE PRAWDZIWY?

Gdy wreszcie skierowałem swe kroki na wyspę Antoniego Deringa — „Warmińskiego Robinsona Cruzoe" czułem się jak złodziej, który niepowołany wkrada się do cudzego domu.

— Czy mam prawo zakłócać jego spokój? Wypytywać, badać, dociekać, podglądać. A wreszcie zdradzić i opisać jego życie gwoli sensacji?

Widocznie, jeśli zamieszkał na samotnej wyspie, to musiał mieć ku temu osobiste powody. Lubi samotność i spokój, nie znosi widoku bliźnich, łowi ryby, pracuje, a pod wieczór kiedy słońce o kolorze nefrytu rzuca swe ostatnie blaski na spokojną taflę rozległych wód tajemniczego jeziora Dadaj kontempluje niepowtarzalne piękno warmińskiego krajobrazu. Dodatkowej pożywki dla mojej wyobraźni dostarczyli złośliwi sąsiedzi z przeciwległego brzegu, dodając, iż wyspę tę ojciec a może nawet dziad lub pradziad Deringa wygrał w dawnych czasach w karty od znanego na całą Warmię hulaki i obieżyświata.

*Michał Kajka — poeta mazurski*

Tymczasem wyszedł mi na spotkanie zwyczajny, zapracowany chłopina o bystrych oczkach i oszczędnym wyrazie twarzy i począł narzekać, że ziemia tutaj licha, że podatki duże i odstawy jeszcze większe, że żona ma reumatyzm, „a córka co ino za chłopakami do Najdymowa cieka" i że ryb nie łowi i w ogóle wody nie lubi. Nawet syn go opuścił i zamieszkał z żoną w pobliskim Stanclewie.

Dawniej miał piękną restaurację, do której na piwo przyjeżdżały wybitne osobistości, aż z samego Olsztyna, Biskupca i Barczewa. I nawet w gazetach pisali, że piwo na Deringowej Wyspie jest najlepsze. Miał piękny samochód i motor BMW-750 cm.

Wojna wyspy nie ominęła. Pozostały tylko ślady w postaci szopy służącej dawniej za salę taneczną, kilka pustych beczek po piwie i szynkwas, za którym królowała pani restauratorowa i wiele wspomnień z dawnych lat świetności i prosperity.

Obecnie nasz ex-karczmarz jest rolnikiem. Posiada dwa piękne konie Moryca i Lotę, psa Reksa, parę sztuk bydła, kilkanaście owiec, orze, sieje, kosi, młócj a latem odwiedza go często któryś z dziewięciu braci lub zawita na sobotni weekend lśniący „Mercedes" brytyjskiej ambasady.

„I tak nas biednych ludzi rzeczywistość ze snu budzi". Nie ma już Robinsonów na bezludnych wyspach. Taki z Deringa Robinson jak z autora niniejszego artykułu przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej w Biskupcu.

**KAROL BADZIAK**

P. S. Oczywiście Dering nie uwierzył mi, że jestem dziennikarzem, ale wziął mnie za przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej, gdyż poznał szofera jego wozu, którym na wyspę przyjechałem.

*Kajczyna*

**EWA DĄBROWSKA**

## Ręka

**Moją prawą ręką**
**zrywałam kwiaty**
**krajałam chleb**
**zamykałam umarłe oczy**

**Moja prawa ręka**
**nocą**
**przebiera wśród gwiazd**
**zmieniona w pięć języków**
**ognia**

**pisze na niebie słowo**
**którego nie potrafię**
**odczytać**
**w blasku dnia**

**A jednak spocznie kiedyś**
**pusta**
**i nieświadoma**
**swych tajemnic**

## Uliczka nienazwana

**Tędy wędrował Odys**
**tędy**
**korytem zapomnień**
**poprzez sny**
**gładkie jak atłas**

**tą uliczką bez nazwy**
**zdala od szumnych asfaltów**
**można**
**tam i z powrotem**
**ciągle od nowa**

**bo tylko tu**
**są książki z obrazkami**
**czarny pudel w oknie**
**z pelargonią**
**zamki z mydlanej piany**

**i**
**nieraz w lecie**
**niepogoda**

**wtedy**
**po mokrych liściach**
**można**
**pod parasolem**
**popłynąć aż na krańce**
**deszczu**

**i tylko stąd**
**usłyszeć czasem**
**śpiew**
**nieznużonych Syren**

Redaguje Zespół. ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 1,— zł, kwartalnie 12,— zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 1 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy".
Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 1531 V. 59. S-9

## Komunikat

**Studium Nauczycielskie w Łodzi, ul. Wólczańska 202 przyjmuje zgłoszenia kandydatów na pierwszy rok studiów w roku szkolnym 1959/60.**

Kierunki studiów:

**1. Filologia polska**
**2. Fizyka**
**3. Matematyka**
**4. Pedagogika ze specjalizacją w zakresie opieki nad dzieckiem**
**5. Rysunek i praca ręczna**
**6. Śpiew z muzyką.**

Studium Nauczycielskie przygotowuje nauczycieli do pracy w szkole podstawowej w zasadzie do uczenia wszystkich przedmiotów, dając równocześnie specjalizację do nauczania w klasach V—VII w zakresie wybranego przedmiotu.

Kierunek „pedagogika ze specjalizacją w zakresie opieki nad dzieckiem" daje przygotowanie do pracy wychowawczej w domach dziecka. Nauka w Studium Nauczycielskim trwa 2 lata

**Warunki przyjęcia do Studium Nauczycielskiego:**

1. posiadanie świadectwa dojrzałości liceum ogólnokształcącego, liceum pedagogicznego względnie szkoły równorzędnej,
2. przydatność fizyczna do zawodu nauczycielskiego,
3. nie przekroczony 30 rok życia,
4. złożenie egzaminu wstępnego.

Egzaminy wstępne odbędą się w czasie od 2 do 15 lipca br.

Egzaminy wstępne w drugim terminie od 25 do 30 sierpnia będą przeprowadzone tylko w tym wypadku, gdy w terminie pierwszym nie zostaną osiągnięte ustalone limity.

Podania o przyjęcie należy składać w sekretariacie S. N. przy ul. Wólczańskiej 202.

Szczegółowych informacji udziela sekretariat S. N. telefon 463-91.

**DYREKCJA S. N.**

Tłum. HELENA NOWICKA

*Ziemska rakieta międzyplanetarna „Tantra" znalazła się w tragicznej sytuacji na skutek braku paliwa. Nagle na drodze swej napotkała Żelazną Gwiazdę, która poczęła przyciągać ją ze straszliwą siłą. Brak paliwa anamezonowego uniemożliwiał wyrwanie się spod władzy Żelaznej Gwiazdy. Astronauci postanowili lądować na jednej z planet Żelaznej Gwiazdy. Podczas przelotu nad planetą zauważyli leżący na jej powierzchni jakiś dziwny przedmiot, przypominający ziemski statek międzyplanetarny, a obok dziwaczny martwy statek w kształcie dysku. Wylądowawszy na planecie, astronauci z „Tantry" udali się na zbadanie statku międzyplanetarnego z Ziemi. Był to zaginiony przed wielu laty gwiazdolot „Żagiel". Załoga jego wyginęła w tajemniczych okolicznościach. Na gwiazdolocie znaleziono nagrane na taśmę magnetofonową ostrzeżenie przed straszliwym niebezpieczeństwem zagrażającym na planecie.*

*Astronauci uzupełnili swe zapasy paliwa paliwem z wymarłego statku. I po walce z okropnymi stworami, zamieszkującymi planetę, odlecieli w kierunku Ziemi.*

Wreszcie zew statku dosięgnął Ziemi.

Cała załoga statku czuwała nie odchodząc od odbiorników radiowych. Nareszcie powrót do życia po trzynastu ziemskich a dziewięciu zależnych latach. Ludzie z nienasyconą zachłannością przyjmowali ziemskie komunikaty oraz włączali się do dyskusji, które starym zwyczajem nadawano przez radio.

Debatowano właśnie nad celowością wysłania ekspedycji dla zbadania błękitnych i zielonych gwiazd. Uczony — przyrodnik Heb Yra stawiał hipotezę, że istnieje tam swoistego rodzaju życie.

Astronomowie „Tantry" kierowani przez Erg Noora opracowali sprawozdania mówiące o wynikach badań „Żagla" utrwalonych na filmie o Wedze.

Satelita 57 przekazał bezpośrednio do obserwatorium Rady protest uczonych „Tantry".

Wreszcie nadeszła chwila, na którą tak czekali. Statek począł zmniejszać szybkość, minął pas lodowy układu słonecznego i począł się zbliżać do przystani gwiazdolotów na Trytonie.

Erg Noor ulokował „Tantrę" na biegunie Trytona z daleka od kopuł budynku portu. Na płaskowzgórzu obok wąwozu lśnił szklanymi ścianami budynek sanatorium, w którym odbywano pięciotygodniową kwarantannę przed powrotem na Ziemię.

Pobyt w sanatorium znosili ludzie dużo łatwiej niż w gwiazdolocie. Życie ich bowiem umilała tu sala koncertowa, laboratoria, kombinowane kąpiele, codzienne spacery oraz łączność z rodzimą planetą.

* * *

Minął okres kwarantanny.

Doświadczony gwiazdolot lekko oderwał się od Trytona i kreśląc olbrzymi łuk skierował się na Ziemię.

### ANIOŁOWIE NIEBA

Z zapartym tchem śledził Erg Noor manipulacje laborantów. Wielość aparatów i urządzeń przypominała centralną sterownię, ale widok zza dużych okien zaprzeczał wszelkim porównaniom ze statkiem kosmicznym.

W środku sali na metalowym stole stała komora z grubych płyt izolacyjnych. Pajęczyna rurek i przewodów oplatała brunatną emalię baku na wodę, w którym znajdowały się dwie czarne meduzy z planety Żelaznej Gwiazdy.

Eon Tal z napięciem obserwował pracę aparatów. Na czoło biologa wystąpiły krople potu.

Erg Noor oblizał zaschnięte wargi.

— Nic. Po pięciu latach podróży zostały tylko martwe szczątki — zauważył ochrypłym głosem.

— Jeśli macie rację, to wielka strata... dla Nizy i dla mnie — odezwał się biolog. — Charakter porażenia trzeba będzie badać po omacku, być może wiele lat.

— Nadal jesteście przekonani, że siła zabijająca jest jednakowa i u meduz i u krzyża?

— Nie tylko ja jestem tego zdania. Inni uczeni i lekarze również doszli do podobnego wniosku. Charakter porażenia Nizy i mój jest prawie identyczny. To jest najważniejszy dowód i główna nadzieja.

— Nadzieja?

— Oczywiście. Spójrzcie — biolog wskazał ręką na prostą linię wykresu przyrządu .— Czułe elektrody umieszczone w pułapce nic nie wykazują. A przecież potwory polazły do środka z pełnym ładunkiem swej energii, która nie mogła nigdzie zniknąć. Bak był izolowany bardzo dokładnie.

— Z tego wynika, że ładunek piorunów kulistych lub czegoś w tym rodzaju, który znajduje się w baku, winien tam być nadal, ale przyrząd nie wykazuje nawet śladu energii...

— W tym właśnie cała nadzieja. Oznacza to bowiem, że meduzy nie rozpłynęły się, nie zginęły.

— Rozumiem. Zasklepiły się. Schowały się w rodzaj kokonu.

— Tak. Podobne przystosowanie się spotyka się wśród żywych organizmów, które w ten sposób „przeczekują" niepomyślne warunki... Jeśli rozumujemy słusznie, nietrudno będzie ożywić te stwory.

— Odtworzymy temperaturę, atmosferę, oświetlenie i pozostałe warunki czarnej planety?

— Oczywiście. Wszystko jest wyliczone i przygotowane. Wkrótce nadejdzie wybitny lekarz — Grim Swar. Lecz najpierw spróbujemy...

Eon Tal odwrócił się do dwóch asystentów. Ci poczęli manipulować urządzeniami. Jeden z nich stanął za pulpitem telesteru. Na ekranie pojawił się obraz powierzchni pokrytej ziarnistym osadem — była to ścianka baku. Następny obrót obiektywów ujawnił na dnie naczynia dwie białe bryłki o kształcie nieforemnych kul.

W międzyczasie przyszedł uczony lekarz — Grim Swar.

— Rozprujcie zalutowany szew! — rozkazał.

Mechaniczna dłoń rozcięła warstwę emalii nie ruszając pokrywy. Rury z mieszaniną gazów podłączono do wentylów.

Grim Swar zaproponował uczonym przejście do sali wypoczynkowej.

— Nie wiadomo jak długo potrwa ożywanie tych kapsułek. Asystenci nas zawiadomią.

Po trzech godzinach zjawił się dyżurny.

—Pokrywa rusza się!

Po chwili wszyscy byli już w laboratorium.

— Zamknijcie hermetycznie komorę i stwórzcie w niej atmosferę planety...

— Zwiększyć wilgotność i nasycenie elektrycznością!

Ale nic się nie działo. Uczony nachmurzył się i począł jeszcze raz sprawdzać przyrządy.

— Potrzebne jest jeszcze zaciemnienie!—rozległ się dźwięczny głos Noora.

Eon Tal aż podskoczył.

— Jak mogłem o tym zapomnieć!...

— Okiennice! — zamiast odpowiedzi rzucił Swar.

Światło zgasło. Świeciły tylko tarcze aparatów. Oddech czarnej planety owiał uczonych, wywołując w pamięci ciężkie i porywające dni walki.

Minęło kilka minut w głębokim milczeniu.

Rozległ się nagle słaby zgrzyt i ciężkie uderzenie — to odpadła pokrywa baku. Pojawiło się znajome migotanie brunatnych ogników. Na brzegu pokazały się macki meduzy. Nagłym podrzutem wyskoczyła ona na zewnątrz i uderzyła o przezroczysty sufit komory. Tysiące brązowych gwiazdek przepłynęło przez ciało potwora. Podobna czarnej zjawie podniosła się z dna baku druga meduza, budząc podświadomy strach swoim szybkim bezszelestnym ruchem. Ale otoczone mocnymi ściankami komory istoty z czarnej planety były niegroźne.

Aparaty pracowały bez przerwy. Mierzyły, fotografowały, wykreślając funkcje, analizując budowę potworów, ich ustrój fizyczny oraz wskaźniki chemiczne i biologiczne. Intelekt ludzki zbierał te różnorodne dane zyskując w ten sposób władzę nad dziwnym i groźnym wrogiem.

Z każdą godziną radośniejsze stawały się twarze uczonych przyrodników.

Wreszcie Grim Swar zwrócił się do Noora.

— Może pan już iść ze spokojnym sercem. My zostaniemy do końca badania. Potwory nie mają gdzie uciec i muszą nam odpowiedzieć na wszystkie pytania, które jesteśmy w stanie im zadać. Za trzy-cztery dni będziemy wiedzieli wszystko, ale już teraz możemy sobie wyobrazić na jakiej zasadzie oparta jest ich zdolność porażania przeciwnika.

— Potraficie już leczyć Nizę i Eona?

— Tak!

Teraz dopiero odczuł Noor jak wielki ciężar gniótł go od owego pamiętnego dnia! Opanowała go tak żywiołowa radość, że z trudem powstrzymał się od chęci uściskania uczonego i wszystkich pozostałych. Po chwili opanował się.

— Czy uzyskane wiadomości przydadzą się następnym ekspedycjom w walce z meduzami i czarnymi krzyżami?

— Oczywiście! Teraz już będziemy znali wroga. Ale czy uda się ponownie ekspedycja w ten ciężki i ciemny świat?

— Nie wątpię o tym!

Dokończenie w nast. numerze

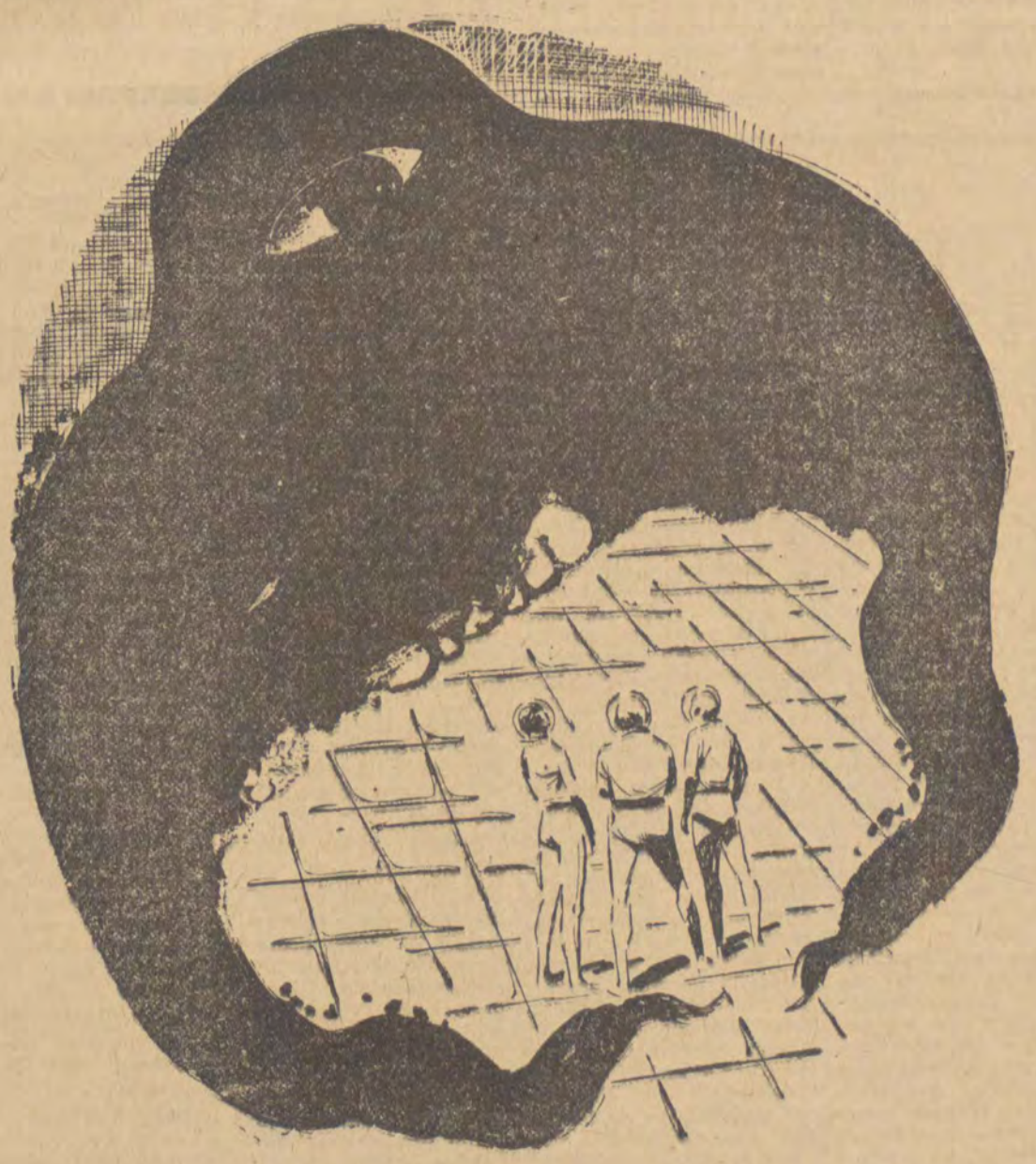

Erg Noor nie myślał już więcej o swoim marzeniu. Usiłował natomiast ocenić jakość nowych wiadomości, które zostaną przekazane na Ziemię; wiadomości zdobytych za tak straszliwą cenę.

Kierownik otworzył sejf i wyjął pudełko z odłamkiem dysku. Ciężki metal jasnej błękitnej barwy, ściśle przylegał do dłoni. Erg Noor wiedział, że ani na Ziemi ani na sąsiednich planetach i gwiazdach nie ma takiego metalu.

Żelazna Gwiazda znajduje się bardzo blisko Ziemi. Przygotowanie specjalnej ekspedycji po zdobytych przez „Żagiel" i „Tantrę" wiadomościach — nie będzie zadaniem zbyt trudnym.

Zjawił się Pur Hiss, aby zastąpić kierownika. Ten udał się w kierunku biblioteki, ale nie poszedł do swojego pokoju, lecz otworzył drzwi szpitalnej kabiny.

* * *

Inżynierowie i technicy znów po trzynastu latach w wielkim pośpiechu instalowali ekrany TWF w centralnym stanowisku sterowniczym i w bibliotece. Gwiazdolot znajdował się już w strefie, w której stał się możliwy odbiór rozrzuconych w przestrzeni fal radiowych z Ziemi.

Głosy, dźwięki, kształty i barwy rodzimej planety podtrzymywały na duchu, a jednocześnie budziły ich niecierpliwość.

Gwiazdolot wzywał teraz sztucznego satelitę 57, nadając sygnały na stałej fali dalekich wypraw międzygwiezdnych, oczekując nieustannie odpowiedzi od potężnego łącznika Ziemi z kosmosem.

## WALKA Z CIENIEM

(Dokończenie ze str. 7)

4.000 zł... Wynik pościgu negatywny...

Wśród personelu sklepów, szczególnie na przedmieściach i bocznych ulicach, zapanowała panika. Telefony w komisariatach dosłownie dzwoniły bez przerwy. Kierownicy i ekspedienci sklepów domagali się natychmiastowego przybycia milicji, gdy obok sklepu stanął jakiś młody człowiek. W każdym kupującym podejrzewano bandytę, wpuszczano do sklepów po jednej osobie, zamykano sklepy zaraz po południu.

Bandy w dalszym ciągu nie udawało się uchwycić. Więcej — nie natrafiono na żaden jej ślad. To znaczy — śladów było bardzo dużo, ale wszystkie okazały się fałszywe. Każdy kierownik sklepu mógł dostarczyć i dostarczał dwa lub trzy dziesiątki nazwisk ludzi, których podejrzewał o przygotowywanie napadu na jego sklep.

Handel został niemal całkowicie sparaliżowany. Milicja starała się zabezpieczyć sklepy. Stale kontrolowano wyznaczone obiekty. Zorganizowano patrole składające się z milicjantów i ormowców.

Na rezultaty trzeba było poczekać...

**KRYMINALISTA w MHD...**

Nasuwa się pytanie: jak to było możliwe, że kilkoosobowa banda potrafiła tak długo bezkarnie działać?

Złożyło się na to wiele przyczyn.

Przede wszystkim słaba znajomość podstaw kryminalistyki wśród personelu sklepowego. Wprawdzie trudno wymagać, aby kierownik sklepu z obuwiem był zapoznany z techniką zwalczania przestępczości, ale pewna choćby znajomość przepisów bezpieczeństwa znacznie ułatwiałaby odszukanie przestępców.

Z reguły po napadzie personel sklepów najpierw robił porządek, ustawiał wszystko na swoim miejscu. Robiono remanent strat i dopiero po upływie godziny przypomniano sobie, że trzeba zameldować milicji o przestępstwie. W ten sposób wszelkie usiłowanie zorganizowania pościgu było właściwie czczą formalnością. Ślady zostały pozacierane, po napadzie nie uzyskano żadnego dowodu rzeczowego. Nikt z napadniętych nie potrafił podać dokładnego rysopisu przestępców.

Ponieważ penetracja w środowiskach przestępczych nie dawała rezultatów — pozostało jedyne wyjście — uniemożliwić bandytom dokonywanie napadów.

Ale czy można do każdego sklepu przydzielić milicjanta? Poza tym nie tylko ta jedna praca absorbowała milicję.

Śledzenie nieuchwytnej bandy przypominało walkę z cieniem. Nie wiadomo było skąd przyjdzie następne uderzenie.

Dokończenie za tydzień

JULIUSZ JANCZUR
HENRYK WALENDA

JACEK LEBEN

# Piękny gest z cudzej kieszeni

Wygłaszając swoje orędzie telewizyjne do narodu amerykańskiego w sprawie Niemiec i Berlina prezydent Eisenhower posłużył się mapą, na której wyraźnie były zaznaczone wschodnie granice Niemiec na Odrze i Nysie.

Chyba tylko człowiek naiwny może przypuszczać, że to przypadek. W sprawach wielkiej polityki nie ma takich przypadków. Nic więc dziwnego, że ta mapa, choć nie odkrywała żadnych nowych lądów, wywołała dosłownie szok w Niemieckiej Republice Federalnej, a prasa zachodnioniemiecka tak preparowała zdjęcia agencyjne, że widać było jedynie Eisenhowera, wskaźnik, który trzyma w ręku i czarny punkt Berlina. Kontury wschodnich granic Niemiec zostały precyzyjnie zatarte.

Na tym się jednak szok nie skończył. Kilka tygodni później prezydent Francji de Gaulle oświadczył wobec 500 dziennikarzy na konferencji prasowej, że zjednoczenie Niemiec odbyć się może jedynie w dzisiejszych granicach na Wschodzie i na Zachodzie, Północy i Południu.

To już nie aluzja z mapą. Cały świat potraktował oświadczenie de Gaulle'a jako pierwsze, oficjalne uznanie przez zachodniego męża stanu dzisiejszych granic Polski. Warto również wspomnieć, że w tym samym czasie londyński „Times" w artykule wstępnym domagał się od trzech mocarstw zachodnich szybkiego uznania polskich granic na Zachodzie.

Rodzi się niewątpliwie pytanie — dlaczego te pierwiosnki świadczące o zmianie podejścia mocarstw zachodnich do naszych granic przebiły lód milczenia w tej sprawie właśnie wiosną roku 1959. Nie rok temu, nie pięć, ani nie dziesięć, a właśnie teraz.

Odpowiedź nie jest trudna — Zachód zmuszony radzieckimi propozycjami w sprawie Berlina i Niemiec do zgody na rokowania ze Wschodem znalazł się w pewnej mierze w sytuacji przymusowej wobec opinii publicznej świata. Batalia typu genewskiego odbywa się przecież na oczach opinii publicznej. Zachód podkreśla z całą mocą swą stanowczość i nieustępliwość w wielu podstawowych kwestiach Niemiec i Europy. W sprawie Berlina — nieustępliwość, w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami — nieustępliwość, w sprawie ograniczenia zbrojeń w środkowej Europie — nieustępliwość. A nieustępliwość — jak wiadomo — nie jest dobrą siostrą rokowań. Rokowania to także obustronna gotowość do wzajemnych ustępstw. Trzeba więc odnaleźć argument, który świadczyłby o dobrej woli Zachodu, o gotowości do ewentualnego kompromisu. Trzeba odnaleźć argument przemawiający za tym, że to mocarstwa zachodnie są „cacy" a Związek Radziecki jest „be". Ewentualne uznanie czy zapowiedź uznania naszych granic na Zachodzie jest niezłym argumentem dla opinii publicznej Zachodu. Ale w istocie rzeczy jest to kompromis jedynie pozorny. Ostatecznie — żaden poważny polityk nie może wysunąć programu, który by zakładał nową wędrówkę dziesiątków milionów ludzi. To nie jest żaden kompromis. Gwarancją trwałości naszych Ziem Zachodnich jest jednoznaczna polityka Związku Radzieckiego, który w ciągu ostatnich kilkunastu lat opowiadał się niezmiennie i stanowczo za Polską nad Odrą, Nysą i Bałtykiem.

Nie twierdzę jednak, że zmiana w podejściu Zachodu do naszych ziem to rzecz bez znaczenia. Znaczenie tej zmiany polega na tym, że podkreśla słuszność polskiej polityki zagranicznej i triumf polskiej racji stanu, że przyczynia się do stabilizacji i odprężenia w środkowej Europie.

Dlaczego jednak właśnie prezydent Francji gen. de Gaulle, opowiedział się za trwałością naszych granic? Przecież to sprzeczne z polityką de Gaule'a, polityką osi Paryż—Bon.

I w tej sprawie można znaleźć — moim zdaniem — odpowiedź. Otóż de Gaulle'owi jest potrzebny sojusz polityczny z Niemcami zachodnimi. Ale de Gaulle'owi absolutnie nie zależy na tym, aby w sojuszu tym Niemcy były silniejszym partnerem. Sprawa Ziem Zachodnich jest w rękach polityków zadnioniemieckich elementem przetargowo-szantażowym, ucięcie tego elementu osłabia na pewno przetargową ofensywność zachodnioniemieckiej dyplomacji. Ale to nie wszystko. De Gaulle wydał swe oświadczenie na użytek zarówno zewnętrzny jak i wewnętrzny. Na zewnątrz wykazał raz jeszcze swoją stanowczość i swoją wolę niepodporządkowywania się narzucanym Francji dyplomatycznym konwencjom. Raz jeszcze przypomniał, że trzeba się z nim liczyć. I to przypomniał właśnie w przeddzień Genewy.

A na użytek wewnętrzny? Otóż de Gaulle jest bardzo mocno atakowany — zarówno przez opozycję komunistyczną, jak i niekomunistyczną za ów flirt z Niemcami. Francuzi nie lubią „boszów" i argumenty opozycji trafiają na podatny grunt. Po oświadczeniu de Gaulle'a jego prasa uderzyła w najgłośniejsze i najbardziej odświętne fanfary. Oto mąż stanu ze spiżu, oto człowiek prawy, oto polityk, który nigdy nie zrezygnuje dla doraźnych koniunkturalnych celów politycznych z fundamentalnych, podstawowych zasad. A na dodatek ten piękny gest nic de Gaulle'a nie kosztował, gdyż zapłacił z kieszeni swojego przyjaciela kanclerza Adenauera, wadzi w konsekwencji do


UWAGA! UWAGA!

## Konkurs z nagrodami

*Jeżeli nie masz pieniędzy*
*skorzystaj z okazji i kup na raty!*

**P.P. „ORS"**

Obsługa Ratalnej Sprzedaży w Warszawie
Oddział w Łodzi, ulica Próchnika Nr 5

załatwi Ci w ciągu 4 godzin formalności związane z uzyskaniem kredytu!

**Kupując na raty w okresie od 20 maja do 20 czerwca 1959 r, w sklepach uspołecznionych:**

PSS — Artykuły przemysłowe wszystkich branż,
MHD — Odzież: płaszcze, garnitury, suknie,
MHD — Art. Użytku Kultur.: adaptery, sprzęt sportowy i muzyczny, rowery i motorki, motocykle,
ZURiT — Telewizory: Belweder, Manes Record i radioodbiorniki
PDT — Artykuły wszystkich branż
PHD — Foto-Optyka: Aparaty fotograficzne i sprzęt fotograficzny
Przedsiębiorstwa Handlu Spółdzielczego ŁZSP — Artykuły różne

MOŻESZ JEDNOCZEŚNIE WYGRAĆ CENNE NAGRODY:

**RADIA**
**ROWERY**
**ROWERY Z MOTORKIEM**
**PŁASZCZE MĘSKIE**
**PŁASZCZE DAMSKIE**
**JESIONKĘ z „YETI"**
**ZEGARKI**
**PIÓRA WIECZNE**
**WIATRÓWKI, KOSZULE M.**
**SPRZĘT SPORTOWY I TURYSTYCZNY**

**oraz wiele innych nagród.**

Aby uczestniczyć w konkursie należy pierwszy odcinek przekazu imiennego talonu (który zatrzymuje nabywca) wraz z wypełnionym kuponem ankiety „Dziennika Łódzkiego" przesłać w kopercie z napisem „Konkurs ratalnej sprzedaży" na adres Redakcji: „Dziennik Łódzki" Łódź, ul. Piotrkowska 96 — do dnia 23 czerwca 1959 r. Po losowaniu odcinki talonów zostaną zwrócone nabywcom.

PAMIĘTAJ!

Jeszcze dziś zgłoś się do agenta P. P. „ORS" mającego siedzibę w większych sklepach uspołecznionych lub do agencji „ORS" przy ul. Próchnika 5, gdzie udzielą Ci szczegółowych informacji dotyczących sprzedaży ratalnej.


MATEUSZ DZIEWISZ

# WIENCE I WIERSZE

Fakt wydawania przez Wydawnictwo Łódzkie utworów pisarzy nagrodzonych literacką nagrodą m. Łodzi na pewno jest ze wszech miar słuszny. W ten bowiem sposób jednorazowa forma mecenatu miasta nad rozwojem literatury nabiera charakteru ciągłego, może mniej efektownego jak doroczne przyznawanie nagród, ale za to bardziej skutecznego. Chwalę pomysł, nie mogę się zgodzić jednak z formą jego realizacji. Czy naprawdę koniecznie utwory pisarzy nagrodzonych wydawać trzeba w „Bibliotece Laureatów Nagrody Literackiej m. Łodzi"? Drobiazg. Może. Ale pozwolę sobie zauważyć, (może się mylę), że wydawca jakoś chyba bał się zaufać nazwiskom poetów i ich poezji skoro natrętnie skorzystał z podpórki terminu — laureaci. Jest w tym snobizm, pretensjonalność i... prowincjonalizm. Tak, kompleks prowincji. Cóż to, nie stać nas na to, żeby stworzyć serię literacką laureatów nagrody m. Łodzi? Ależ stać, oczywiście. Tylko po co? Najlepszą rekomendacją dla pisarza nie jest seria, w której ukazują się jego utwory, ale ich bezsporna wartość artystyczna. A tomy poezji Mariana Piechala i Stanisława Czernika, które ukazały się w roku ubiegłym w serii laureatów nagrody literackiej m. Łodzi, na pewno rekomendują się same.

Na tom „Wierszy" Mariana Piechala składają się utwory wybrane począwszy od pierwszego tomiku poezji poety, wydanego w 1929 roku pt. „Krzyk z miasta", a skończywszy na wierszach z ostatniego już cyklu z roku 1958 pt. „Mowa milczenia". Poezja Piechala rozwinęła się w klimacie moralnej problematyki Stefana Żeromskiego. Pochylenie się nad cierpiącym w Ojczyźnie człowiekiem stanowi dominantę zarówno wierszy pierwszego tomu, jak i licznych wierszy z tomów następnych. Jest to poezja, której źródeł inspiracji artystycznej szukać trzeba w kręgu poetyckiej twórczości Cypriana Norwida. Nie są to jakieś stwierdzenia oryginalne i nowe. Pisał o tym już w dwudziestoleciu międzywojennym, K. W. Zawodziński. W wielu wierszach z okresu dwudziestolecia odnaleźć można wpływy poniektórych Skamandrytów (choćby Jana Lechonia). W zakresie poetyki odzywają się tu i ówdzie pogłosy poetyki krakowskiej awangardy. Jest to poniekąd zrozumiałe. Poeta nie tworzy w izolacji, w próżni społecznej i literackiej. W dodatku poeta tego pokroju co Marian Piechal. Jest to poeta wszystkimi tkankami swej poezji związany ze współczesnością. Poeta, który mimo klasycyzującej formy poezji, stara się utrzymać w rytmie współczesności. Ta postawa na pewno chroni Piechala przed anachronistyczną obroną raz obranej poetyki, jaką prezentuje nam na przykład zawsze awangardowy Julian Przyboś. Piechal, nie rezygnując z formalnego nowatorstwa (szczególnie w utworach z lat ostatnich, z tomiku „Ognie") potrafił przecież zachować własne, niepodrobione widzenie świata. Nie miejsce po temu, żeby to twierdzenie szerzej rozwijać i dokumentować. Powiedzmy jeszcze tylko, że Piechal jest poetą wyjątkowo czułym i wrażliwym na wartości cywilizacyjne i kulturowe, a jednocześnie poetą, u którego częstym motywem jest motyw nietrwałości, przemijalności człowieka, jego dzieł, ludzkiej cywilizacji i kultury. Jeszcze w dwudziestoleciu zwrócono uwagę, że jest to liryk z silną predylekcją do epiki. Choć praktyka ostatnich tomików nakazywałaby przeprowadzić w tym zakresie pewną korekturę. Bowiem w twórczości lat ostatnich obserwować można jak nawet w sposobie obrazowania poeta ewoluje od epickiego przedmiotu, konkretu do lirycznego podmiotu. Mimo to, w przekroju całego tomu zdarzają się i wiersze puste, wiersze — popisy świadomego rzemiosła literackiego retora, a nie pełne wewnętrznej treści utwory prawdziwego poety. Warto tu przypomnieć Norwida, który mówił, że poetą się nie jest, poetą się bywa.

Drugim poetą, którego „Poezje" ukazały się w serii „Biblioteki Laureatów" jest Stanisław Czernik. Podobnie jak tom poprzedni, tom Czernika jest niejako podsumowaniem dorobku poetyckiego. Niezależnie od wstrząsów, jakim podlegała twórczość poety, Czernik był i pozostał w swoich — także ostatnich wierszach — wyznawcą autentyzmu, z takim przekonaniem bronionego w okresie międzywojennego dwudziestolecia. Cześć i chwała wierności raz obranej poetyce, choć warto tu przypomnieć, że już w dwudziestoleciu pisał Stefan Kołaczkowski, że próby stworzenia czy raczej odtworzenia poezji ludowej mogą być tylko stylizacją, naśladownictwem, niewiele mającym wspólnego z kulturą ludową. Faktem jest, że stylizatorstwo może prowadzić do trwałych dokonań poetyckich. Ale poezja Czernika pełna jest niestylizowanych uroków natury, niepowtarzalnego, surowego piękna łąk, pól, sadów i lasów; rozlicznych gatunków drzew, kwiatów, zwierząt i ptaków. To poezja, w której dominującymi barwami są błękit przeglądającego się w studni nieba, biel śniegu pokrywającego rozległe wiejskie zagony, czerń ziemi, intensywna zieleń sadów i lasów, poezja ciężkiej chłopskiej pracy, w której czuć wysiłek ciągnącego na chłopskim zagonie pług konia, trud pochylonego, umazanego w gliniastej ziemi oracza. Wrażliwość na pejzaż, barwę, dominować będzie u Czernika nawet w wierszach z okresu okupacji i wojny, w których poeta wyjdzie z kręgu wiejskich opłotków. I jeszcze jedno. W wierszach Czernika uderza duża łatwość z jaką poeta wpada w rytm, często nawet w melodię ludowej piosenki. Służy temu i posługiwanie się refrenem i sposób obrazowania, porównania i metafory, które zaczerpnięte z ludowych wyobrażeń i ludowych doświadczeń sugerować mają ludowość tej poezji. Tylko, że nadmierna dążność do autentycznej ludowości jest tej ludowości zaprzeczeniem. Te wiersze są zbyt ładne, żeby były autentyczne. A właśnie „ładność" jest zaprzeczeniem ludowości.

Mimo wszystkiego, co napisałem o poezji Czernika trzeba podziwiać u tego, jak na mój gust staroświeckiego poety, wprawdzie jednostronną ale oryginalną wyobraźnię potycką. I ta, wcale niebanalna wyobraźnia, pomimo bagażu stylizowanej poetyczności, decyduje o niepowtarzalnym uroku tej poezji.

DOM KSIĄŻKI

Ambona satyryka

ZYGMUNT FIJAS

# Dlaczego akurat na wesoło?

Bywają w życiu człowieka takie chwile, że nic go nie ziębi, nic nie grzeje. Wtedy wesołe, majowe słońce świeci mu ponuro jak łódzka pięciowoltowa żarówka w godzinach szczytowego nasilenia prądu, śpiew słowików nie różni się melodyjnością od krakania wron na odwilż, wielkie zdarzenia polityczne, wywołujące na twarzach narodów rumieńce, tyle znaczą, co zeszłoroczny śnieg.

Biada tym, co w tym stanie ducha przymuszają się do wesołości. W tym nastroju dobrze jest pisać sprawozdania z działalności przedsiębiorstw pogrzebowych, wygłaszać wielogodzinne referaty, składać kondolencje, ucztować na konsolacjach, ale zmuszać się do śmiechu tyle samo znaczy, co usiłować galwanizować trupa.

Jeszcze większe biada tym, co przymuszają się w tych jałowych chwilach do pisania wesołych artykułów.

Szczęśliwi ci wielcy rysujący zartownisie przed pięćdziesiątką, humoryści gazetowi i satyrycy, co umieją przepisywać artykuły ze starych kalendarzy, kalkować rysunki z sędziwej zagranicznej prasy i umieszczać je na ostatnich stronicach „Przekroju": podają głodnemu czytelnikowi zjełczałe i zleżałe jadło, ale przecież jadło sycące. Szczęśliwi ci autorzy fraszek, co umieją swe płody odmłodzić przez zręczne przestawienie rymów i zamianę stóp, i pokazać je rozbawionej publiczności jako najświeższe, na nowo autoryzowane przez siebie trojaczki, dzieło humorystycznego raczej przypadku. Nieszczęśliwi ci biedni autorzy, co w stanie ponurym usuwają zbyteczne owłosienie z swych nozdrzy, wylamują rozpaczliwie swe palce, przesiadują godzinami w kawiarniach łowiąc obu uszyma zręczne powiedzenia i przenosząc je do swych ukrytych pod stołami kajetów satyrycznych, dłubia w zębach i nosie, zlorzeczac swemu otoczeniu i historii, jakby to ona była winna ich chwilowej lub wysłużonej bezpłodności; gdaczą jak stara kwoka i gniotą swój umysł, aby zeń wycisnąć bodaj kroplę wesołości: publiczność odwraca sie od ich stolików i przysuwa swe krzesła do tych, co umieja odtwarzać kawały ze starych kalendarzy... Publiczność bowiem chce się bawić za każdą cenę, chce się śmiać. Obojętne dla niej czy śmieje się za dziewięć złotych czy za złotego. Grunt, aby usta nie zardzewiały w powadze.

Jeśli więc znajdujecie się w takim nastroju, w którym nic was nie ziębi, nic nie grzeje; smakowita zupa szczawiowa z grzankami pachnie wam jak klej, wzmianka o odbudowie kraju tyle was obchodzi, co zeszłoroczny śnieg; zeszłoroczny śnieg przedstawia dla was większą atrakcję niż przyszłość wyciągająca ku wam trzepocące raczęta, nie piszcie artykułów na wesoło.

Dlaczego wszystko musi być mówione i pisane na wesoło? Czy wiecie, co powiedział, znany wam i mnie pisarz Somerset Maugham: humor winien być poważny. Tak poważny jak niniejszy artykuł. Aby czytelnik nie wiedział, z czego się ma śmiać. Amen.

# MARTIN

Od trzydziestu z górą lat, kiedy szwedzki karykaturzysta Addamson zaczął rysować serię zabawnych przygód Agapita Krupki — podobny rodzaj żartu podjęło wielu humorystów. Z tej tradycji wywodzi się Mały Król Soglowa i profesor Filutek — Lengrena. Ten gatunek dowcipu rysunkowego — historyjki cykliczne, z których każda rozwija temat dalszych losów tego samego bohatera — przyjęły się szybko.

Inaczej nieco dzieje się z opowiastkami „zamkniętymi", które nigdy nie powracają do poprzednich przygód przedstawianej postaci. Rzecz ciekawa, ale owe „zamknięte" historyjki uprawiane są tylko przez nielicznych humorystów, niejako na marginesie twórczości. Wyjątkowo trafia się rysownik, który poświęci gros zainteresowania temu gatunkowi żartu.

Do takich wyjątków należy Francuz Cog i Amerykanin Cem. Pod tym pseudonimem ukrywa się ceniony nowojorski scenograf i dekorator wnętrz, Charles E. Martin.

Cem należy do młodszego pokolenia karykaturzystów USA, debiutował dopiero po wojnie, oczywiście w słynnym „New Yorkerze". Niebywałe, jak to pismo potrafi przyciągać utalentowanych humorystów.

Ulubiony przez Martina gatunek historyjki „zamkniętej" składającej się często z wielu obrazków, wymaga od rysownika — pozwólmy sobie na ważkie słowo — znajomości praw pewnego rodzaju dramaturgii. Schemat jest taki — należy możliwie najdłużej kierować uwagę czytelnika (czy raczej widza?) w określonym kierunku, by potem zaskoczyć go jak najbardziej nieoczekiwanym odwróceniem sytuacji.

Charles E. Martin dobrze pojął tę zasadę; zaskakującą pointę opowiastki konstruuje w mistrzowski sposób. Tej umiejętności właśnie zawdzięcza swoją ogromną popularność.

J-ert.

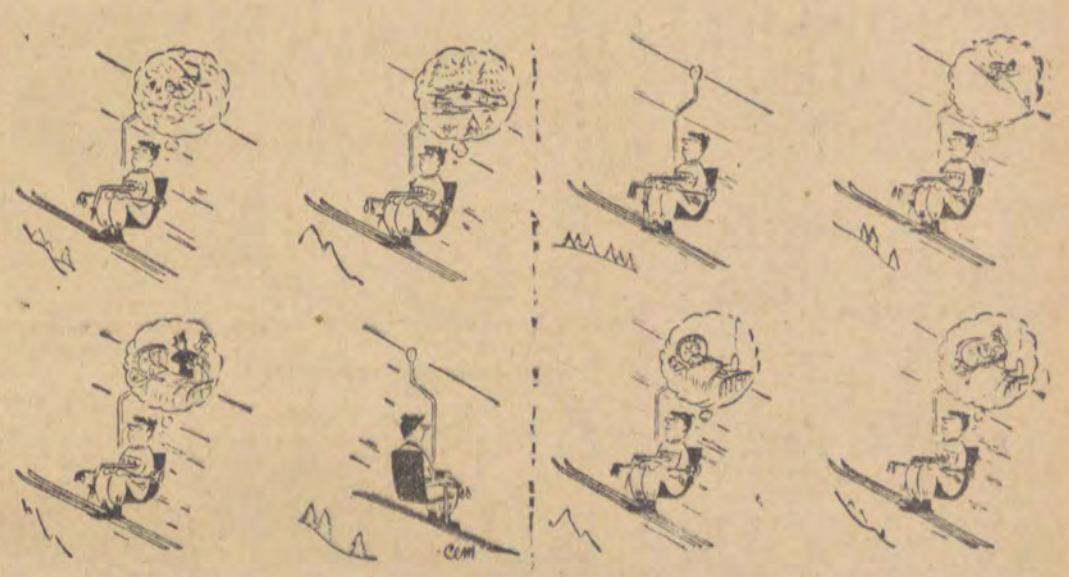

# CHARLES E. MARTIN

# Mieszaniny

Pod redakcją Jana Huszczy

## Zmysł reorganizacyjny

Jak głoszą uporczywe i nienowe opinie, z którymi przynajmniej częściowo trzeba się zgodzić, nigdy nie grzeszyliśmy zbyt rozwiniętym zmysłem organizacyjnym. Przy naszych skłonnościach do bałaguszczyzny i bałaganiarstwa, przy znanej lekkomyślnej pochopności, nieraz zawodziły nawet bardziej przemyślane koncepcje, wyłaniające coraz to inne, szczęśliwsze formy organizacyjne dla różnych przejawów z różnych dziedzin naszego życia.

Gdy się obserwuje jakąś konkretną instytucję i fazy przeobrażeń, jakim ulegała na przestrzeni kilku albo i więcej lat, gdy się weźmie pod uwagę punkt wyjścia i punkt dojścia — to odnosi się wrażenie, że są one w gruncie rzeczy pozorne, że wszystko sprowadzało się do „dreptania w kółko".

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Poszukiwanie szczęśliwszych i prostszych form organizacyjnych jest słuszne i konieczne pod warunkiem spełnienia podstawowej zasady, wywodzącej się choćby ze znanego powiedzenia: „Trzy razy pomyśl, a raz zrób". Niestety, zasada ta często przekształca się w swoje zaprzeczenie: „Trzy razy zrób, a tylko raz pomyśl"...

Przykładów z życia jest tyle, że trudno od nich — jak od pcheł na letnisku — opędzić się. Weźmy jeden poważny: w swoim czasie rozbito gminy na gromady. Posunięcie to na samym początku budziło rzeczowe zastrzeżenia. Nie tu miejsce na ich przypominanie. I oto od dłuższego czasu życie wykazuje niecelowość i niepraktyczność tego posunięcia. Jesteśmy obecnie świadkami scalania gromad w większe jednostki administracyjne. Jest to uzasadnione, ale czy koniecznie musieliśmy przejść przez niefortunny, kosztowny etap reorganizacji?

Przykłady pomniejsze... 1) Przez ileż to faz przeszło „rozprowadzanie" biletów kinowych, nim zatrzymaliśmy się na obecnym sposobie, który narzucał się od początku istnienia upaństwowionych kin! 2) „Reorganizacja handlu" najczęściej sprowadzała się do zupełnie nie przemyślanych, a kosztownych remontów i „adaptacji", istota zaś handlu, zwłaszcza krzyczących braków w obsługiwaniu konsumenta, dotąd nie uległa jakiejś szczęśliwszej przemianie, choć można chwalić coraz bogatszą podaż artykułów przede wszystkim przemysłowych, co nie jest jednak zasługą „sieci rozprowadzającej", której aż dotąd to i owo trzeba wmawiać, a nawet wmuszać... Dużo mogliby o tym opowiedzieć kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych!

O co chodzi felietoniście? „Zmysł organizacyjny" nieraz w naszym życiu jest zastępowany przez smutny i szkodliwy „zmysł reorganizacyjny". Fetyszyzowanie reorganizacji co pewien czas wypiera z niejednej świadomości ideę organizowania, której celem jest upraszczanie i ułatwianie życia: w przemyśle — osiąganie coraz poważniejszych efektów produkcyjnych; w usługach — ich upowszechnianie i tanienie; w kulturze — coraz szersze udostępnianie najistotniejszych wartości... itd.

Sądzę, że te refleksje należałoby wypowiedzieć w sposób precyzyjniejszy; czuję, iż powinno się posłużyć jakąś bardziej rzeczową terminologią; sięgnąć po bardziej rozwinięte przykłady.

Powtarzam jednak, iż nie stać na to felietonistę, uprawiającego małe półko na łamach pisma.

Zawsze jednak, gdy nam mówią o „zmyśle organizacyjnym", bądźmy podejrzliwi i bacznie obserwujmy, czy to przypadkiem jeszcze raz nie dochodzi do głosu „zmysł reorganizacyjny", wierny towarzysz bałaganu, źródło mitręgi i pozornych efektów.

W naszym życiu, w różnych jego dziedzinach — szerszych i węższych, doniosłych i mniej doniosłych — nigdy dosyć przypomnianego już wyżej powiedzenia: „Trzy razy pomyśl, a tylko raz zrób", bowiem bezkrytyczne, nie poddane rzeczowej i wielokrotnej analizie, miotanie się między różnymi formami organizacyjnymi nikomu i niczemu nie służy.

# Nasza krzyżówka

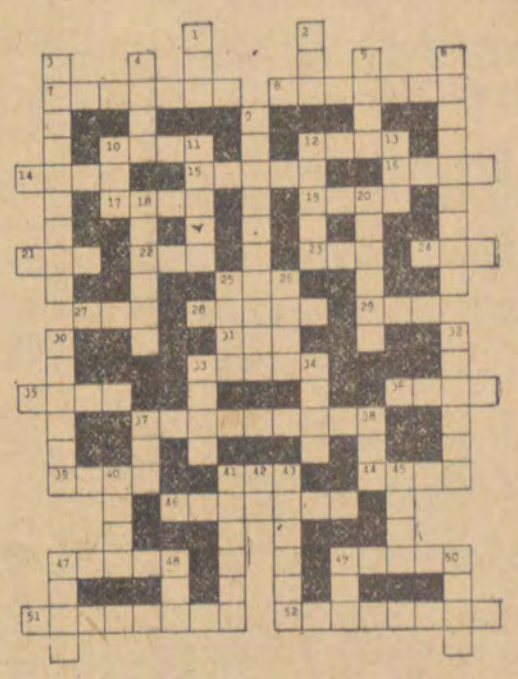

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 7) Kolor czerwonawy o odcieniu fioletowym, 8) Nasze pismo, 10) Papuga, 12) Nazwa tkaniny, 14) Miara papieru, 15) Taniec, 16) Imię męskie, 17) Ryba, 19) Choroba, 21) Rzeka przepływająca przez Stargard, 22) Piłka wyrzucona poza obręb boiska, 23) Wada wzroku, 24) Restauracja, 25) Część sztuki teatralnej, 27) Zabawa, 28) Boks, kolarstwo, wioślarstwo itp., 29) Skorupiak, 31) Imię żeńskie, 33) Kleks, 35) Drapieżnik, 36) Przestrzenna figura geometryczna, 37) Pieśń gondolierów weneckich, 39) Rozmowa głośna, hałaśliwa, 41) Zwierzę futerkowe, 44) Prysznic, 46) Budy z chrustu, 47)Wyspa na Bałtyku, 49) Utwór poetycki, 51) Postać z „Pana Tadeusza", 52) Drobne części składowe maszyn i instalacji,

Pionowo — 1) Naładowany elektrycznie atom, 2) Trucizna, 3) Śpiewna melodia, 4) Mały zespół muzyczny, 5) Wielki kamień, 6) Wodnopłatowiec, 9) Nazwisko pisarki polskiej, 10) Kwiat, 11) Pęd, siła rozpędu, 12) Drobny pieniądz, 13) Zdrobniałe imię żeńskie, 18) Owoc południowy, 20) Szpony, 25) Sprawdzanie obecności na zbiórce, 26) Przyrząd gimnastyczny, 30) Użycie jakiegoś środka leczniczego, 32) Cyklista, 33) Zadrzewienie w mieście, 34) Rzymski bożek miłości, 37) Gęsty las, 38) Głos żeński, 40) Wyspa koralowa w kształcie pierścienia, 41) Matka Apollina i Artemidy, 42) Muł, szlam, 43) Nazwa tkaniny, 45) Planeta lub pierwiastek promieniotwórczy, 47) Stulecie, 48) Przeczenie, 49) Ryba, 50) Wykwintne ciasto.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Wśród osób, które nadeślą prawidłowe rozwiązanie krzyżówki, zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

# Co robią twórcy?

Zdjęcie przedstawia ekipę filmu „Lotna". W centrum — odtwórczyni głównej roli kobiecej — Bożena Kurowska, obok reżyser Andrzej Wajda i operator, Jerzy Lipman. Andrzej Wajda, korzystając z chwili przerwy po ukończeniu „Lotnej" — wyreżyserował na Wybrzeżu sztukę pt. „Kapelusz pełen deszczu".

Estetyczne tabeleau wykonał asystent operatora, p. Antoni Nurzyński.

Znany operator i reżyser filmowy — Stanisław Wohl, przystępuje obecnie do realizacji komedii pt. „Zakład", opartej na oryginalnym, dowcipnym pomyśle.

# Mieszanka filmowa

A. J. PIOTROWSKI

## Jak się u nas zapowiada filmy...

Lada dzień pojawi się na naszych ekranach film „Windą na szafot". Tygodnik „Ekran" zapowiada to wydarzenie słowami zwięzłego streszczenia:

„Julian Tavernier przy udziale kochanki morduje jej męża. Zbrodnia jest doskonała, ale w drodze powrotnej Julian zostaje uwięziony w zepsutej windzie"

Pomyłka nr 1 (trojaka!) Przede wszystkim zbrodnia wcale nie jest doskonała, Julian zostawia na miejscu zbrodni sznur po którym się wspinał, winda nie zepsuła się — tylko prąd został wyłączony przez portiera, a morderca utknął w niej pragnąc raz jeszcze dostać się do gabinetu zamordowanego (ściślej), na ganek, po zapomniany sznur). Ale cytujmy dalej:

„W nocy, gdy usiłuje wydostać się z pułapki, młoda para, Louis i Weronika kradną jego sportowego Mercedesa".

Pomyłka nr 2. Samochód Juliana zostaje skradziony nie w nocy, ale natychmiast po zostawieniu go pod kwiaciarnią. Poza tym, jest to nie Mercedes tylko Pontiac. Mercedesa Louis i Weronika kradną potem, ale nie Julianowi, który go nie posiada, tylko turystom niemieckim.

„W swej przejażdżce po Paryżu poznają turystów niemieckich, którzy odkrywają kradzież młodych. Louis inicjuje ucieczkę, ale kiedy zostaje schwytany — strzela z pistoletu Juliana, zostawionego w samochodzie. Młodym udaje się wreszcie zbiec. Julian musi przedstawić sądowi swoje alibi".

Tu już nie tylko pomyłka nr 3 — ale i dodatkowo cały zbiór nonsensów. Nie sposób jednak tego wyłożyć bez jednoczesnego opowiedzenia Czytelnikom treści filmu, a tego pragniemy uniknąć. Podamy tylko, że Julian żadnemu sądowi nie musi przedstawiać alibi, jako że przesłuchiwany jest jedynie przez inspektora prowadzącego śledztwo. Itd.

Pointa. Przytoczone (z braku miejsca, niestety, nie do końca...) streszczenie jest zaczerpniętym z „Ekranu" fragmentem większej rzeczy, pt. „Rendez-vous na premierach 1959 roku". Słowo „rendez" sympatyczny „Ekran" podał jako randez" (ogromne litery w tytule!). Jeśli zgodnie z naszymi przypuszczeniami notka była przetłumaczona z francuskiego, to nieszczęsne „randez" wszystko wyjaśnia, sprawdzając zdolności językowe tłumacza i redaktorów „Ekranu"!

## Cannes

Reżyser Antoni Bohdziewicz zasiada w Cannes w charakterze jurora. W roku ubiegłym wystąpili m. in. w tej roli — Jean Cocteau (tradycyjnie) i Bernard Buffet. Polskę — jak wiadomo — reprezentuje na festiwalu kolorowy film Janusza Nasfetera o tematyce dziecięcej („Małe dramaty") i animowana krótkometrażówka Bielińskiej i Haupego pt. „Zmiana warty".

„Komisarz Maigret" — od lewej Paul Frankeur, Jean Gabin i Michel Auclair.

## Komisarz Maigret

Jeden z najpopularniejszych aktorów francuskich — Jean Gabin, po raz n-ty w swojej bogatej karierze filmowej kreuje rolę komisarza policji. (W podobnej roli oglądaliśmy go nie tak dawno w adaptacji filmowej „Zbrodni i kary" i w filmie „Jak bezpańskie psy"). Tym razem Gabin prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa księżniczki o dźwięcznym nazwisku de Saint Fiacre. Film reżyseruje Jean Delannoy'a twórca bardzo u nas dyskutowanego filmu według scenariusza J. P. Sartre'a „Kości rzucone". W nowym filmie Delannoy'a partnerami Gabina są: Michel Auclair („Imieniny Henrietty", „Niezwykły świadek") oraz spotykany w wielu filmach francuskich Paul Frankeur. Podejrzani są o morderstwo kobiety, której zwłoki znalazł komisarz Maigret.., w kościele i do tego w środę popielcową.

Całą zagadkę morderstwa i wynik śledztwa prowadzonego przez Jean Gabina jako komisarza policji — wyjaśni nam niewątpliwie film Delannoy'a, jeśli jego dzieło trafi na ekrany w Polsce.

## Uwaga, kandydaci na studia filmowe

**W związku z licznymi pytaniami naszych Czytelników przedstawiciel „Mieszanki Filmowej" przeprowadził rozmowę z Sekretariatem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej im. Leona Schillera.**

Jak wygląda w tym roku nabór kandydatów do szkoły? Czy szkoła ogłosi przyjmowanie podań na wszystkie wydziały?

**Podania przyjmuje się w kolejności następującej: na wydział aktorski — do dnia 7 czerwca br.; na pozostałe wydziały oraz na Studium Teorii Filmu — do dnia 13 czerwca br. Przez „pozostałe wydziały" rozumiemy wydział operatorski i wydział reżyserii filmowej.**

Czyli na wydział ekonomiczny nie przewiduje się w tym roku przyjęć?

**Nie.**

I jeszcze jedna sprawa. Jak nam wiadomo, aby ubiegać się o przyjęcie na wydział aktorski i operatorski wystarczy być choćby świeżo upieczonym maturzystą. Z wydziałem reżyserii filmowej jest cokolwiek inaczej, prawda?

**Tak. Szczegółowych informacji udzielają: Poradnia Ogólna w Łodzi, ul. Targowa 61, tel. 322-05 (codziennie) oraz Poradnie Konsultacyjne:**

**1) Dla wydziału aktorskiego — Dziekanat Wydziału, Łódź, ul. Gdańska 32, tel. 313-05 (wtorki, czwartki i soboty, godzina 16 — 18).**

**2) Dla wydziału operatorskiego — Dziekanat Wydziału, Łódź, ul. Targowa 61, tel. 322-05 (wtorki, środy, czwartki, godz. 11—13).**

**3) Dla wydziału reżyserii filmowej — Dziekanat Wydziału, Łódź, ul. Targowa 61 (wtorki, środy, godzina 12 — 14). Zakład Historii i Teorii Filmu przy Państwowym Instytucie Sztuki w Warszawie, ul. Długa 26 (piątki, godzina 12 — 14) oraz gabinet reżysera Jerzego Bossaka w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie, ul. Chełmska 21 (soboty, godzina 10 — 12).**

**4) Dla Studium Teorii Filmu — Sekretariat Studium w Warszawie, ul. Długa 26 (piątki, godz. 11 — 13).**

**Rozm. A. DOŁ.**

## Pan Dysponent

Kierownik kinoteatru premierowego „Bałtyk", proszony telefonicznie o zarezerwowanie biletu dla sprawozdawcy „Odgłosów" — odmówił uprzejmie, tłumacząc się dużym powodzeniem „Paryżanki". Nie mielibyśmy żadnych pretensji, gdyby nie dalsza motywacja:

— Recenzji już nie trzeba — zadecydował p. Kierownik. — Była jedna w „Dzienniku". Wystarczy!"

Dziękujemy. Przepraszamy. Przy zamawianiu u recenzenta następnego sprawozdania nie omieszkamy uprzednio poprosić p. Kierownika o zadysponowanie, czy recenzja jest potrzebna kinoteatrowi „Bałtyk". Będzie to niejakim ułatwieniem naszej pracy redakcyjnej a zarazem sprawdzaniem hipotezy, która powiada, iż niektórzy kierownicy kin traktują recenzje filmowe jako reklamę własnego sklepiku.

## Emocja!

Telewizja Łódzka ogłosiła „konkurs na postać telewizyjną". Kandydaci muszą przygotować a potem wygłosić przed kamerami dwie pięciominutowe gawędy, w których zabłysnąć winni refleksem, dowcipem, inteligencją i pełnią osobistego uroku, a poza tym odznaczyć się miłym uśmiechem, sympatyczną sylwetką i gustownym krawatem. Wśród licznych zgłoszeń pojawił się także zawód: „reżyser filmowy". Jest to p. Daniel Szylit, drugi reżyser filmu pt. „Anatol szuka miliona".

Środowisko filmowe jest poruszone i niecierpliwie oczekuje wyników turnieju.

Mało komu znana jest zajmująca ciekawostka, odróżniająca naszą kinematografię od pokrewnych jej (zawodowo) instytucji tego świata. Myślę o kompetencjach poszczególnych twórców. Mamy jednego tylko (dosłownie!) reżysera, który interesuje się stroną techniczną filmu. Pozostali albo oddają te problemy operatorowi, albo dla ułatwienia (jest taki wypadek także) — nakręcają film w porządku chronologicznym, czyli od pierwszej sceny do ostatniej, czyniąc tym samym wyłom w zwyczajach nabytych przez historię kina. W każdym razie wszystko sprowadza się do jednego: operatorzy reprezentują „myśl rzemieślniczą" i mają na swej głowie problemy, które gdzie indziej załatwia wykwalifikowany, pomocniczy sztab reżyserski.

Ale stanowienie o jakości technicznej filmu, to jedynie nadobowiązkowe zajęcie operatora, postaci niedocenianej i pozostającej w cieniu modnego (ilekroć razy jedynie sezonowo!) reżyserskiego nazwiska. Operator nie wyjeżdża na atrakcyjne festiwale i nie prezentuje swych filmów publiczności. Co najwyżej zostanie zauważony grzecznościowym zdankiem sprawozdawcy — i... tyle ma satysfakcji. Na codzień obowiązuje go nieomylność — rzecz w operatorskim fachu zwyczajna. Tak bardzo zwyczajna, że nawet się o niej nie mówi. Mylić się może każdy, choćby reżyser, aktor, kompozytor lub montażysta. Operator musi wykonać swą pracę czysto, bez potknięć i niezależnie od takich czy innych trudności. Najmniejszy błąd — i film będzie nie do oglądania. Nieznaczna pomyłka — i sądu nie zostanie po wysiłku całej ekipy twórczej, po najpiękniejszej scenerii i najciekawszych kreacjach aktorskich, i na odwrót: — dobra oprawa plastyczna filmu potrafi wynagrodzić dużo wszelakich niedostatków, niejedną dziurę załatać. Przykładem tego może być niedawna polska premiera — „Rancho Texas". Dzięki bezsprzecznie doskonałym, bo jednolitym stylistycznie i niebanalnym zdjęciom Romualda Kropata — film zyskał nastrój i niejaką autentyczność, niezależną od rzeczywistych usterek scenariusza.

Mówi się o „polskiej szkole filmowej", ale mało kto napomyka, iż na tę „szkołę" składają się filmy oparte na nieprzeciętnej fotografii, będącej najczęściej dziełem absolwentów łódzkiej PWSF. Lipman, Wójcik, Laskowski, Wójtowicz, Kropat i inni, to twórcy naprawdę młodzi, którzy wystartowali stosunkowo niedawno temu, a już legitymują się głośnymi osiągnięciami artystycznymi. Jest to zresztą niewątpliwą zasługą nie tylko ich osobistych predyspozycji, ale i długoletniej pracy pedagogicznej szczupłego grona fachowców, a przede wszystkim — niestrudzonego opiekuna, prof. Stanisława Wohla.

Nie sposób wyłożyć pokrótce traktatu o licznych stylach sztuki operatorskiej, łatwiej wyróżnić trzy szkoły, których charakter zdaje się być najbardziej sprecyzowany: radziecką, amerykańską i włoską, zbliżoną doborem środków do filmu dokumentalnego. Szkołę radziecką np. cechuje duża staranność kompozycyjna i konsekwencja oświetleniowa; Amerykanie dają w zamian popis rzemieślniczy, i nawet trzeciorzędne filmy, pozbawione jakichkolwiek ambicji artystycznych, opatrują zdjęciami tak starannymi, że nie powstydziłby się ich film europejskiej klasy festiwalowej.

Nasi operatorzy posiedli kapitalną umiejętność znajdowania przysłowiowego „złotego środka". Szukając własnego — sposobu — wyciągają wnioski zarówno z tradycyjnego dorobku operatorów radzieckich jak i amerykańskich. Potrafią dać fotografię równie pretensjonalną — jakby wyszła ona z kamery Ussorowskiego (autora zdjęć do m. in. filmów „Nauczycielka wiejska" i „Lecą żurawie") lub nie mniej znakomitego Amerykanina Tolanda („Obywatel Kane") i równie bezpretensjonalną — jak w klasycznych obrazach włoskiego neorealizmu. Słowem mamy doskonałych i jak się rzekło — niedocenianych operatorów. Nie wiem, czy nie trzeba zaliczyć na ich konto co najmniej połowy sukcesów naszego filmu. Sądzę więc, iż warto by upomnieć się o operatorskie prawa, o pełniejsze zadośćuczynienie na wypadek sukcesu i o poświęcanie większej uwagi zagadnieniom filmowej fotografii.

I jeszcze kilka uzupełnień, które notuję ze względów protokolarnych. Kandydat na operatora filmowego musi przede wszystkim wstąpić do Państwowej Szkoły Teatru i Filmu im. Leona Schillera w Łodzi. Tu pobędzie pięć lat, ucząc się wielu rzeczy z zakresu pokrewnego czarnej magii. Następnym szczeblem operatorskiej kariery jest funkcja fotosisty, później — zajęcie asystenta operatora, i wreszcie rola II operatora, czyli tzw. „szwenkiera" (który prowadzi kamerę, w odróżnieniu od I operatora, ustalającego kadr i światła). Po przebyciu tej niekrótkiej drogi może nasz kandydat na operatora posiąść pewność, że nikt nie będzie miał zielonego pojęcia, na czym polega funkcja, spełniana przezeń w kinematografii. Ba! nawet zacna krytyka filmowa, rozstrząsająca dziarsko najbardziej skomplikowane problemy światowego kina — niechętnie wikła się w ocenę operatorskiej pracy. Praktykuje za to najmilszy i nader wygodny zwyczaj ferowania wyroków typu „zdjęcia ciekawe" (względnie „niecekawe"), albo: „zdjęcia na wysokim poziomie". Warto napomknąć, że operatorzy zdążyli się już do tego przyzwyczaić, i czytając podobne cenzurki na ogół nie popadają w stan furii.

EDWARD ETLER